

Lucjan Grebowski, c.d. :

przeciwko Niemcom przez AK na terenach wschodnich Polski, mile widziane przez żołnierzy "Armii Czerwonej", stała się niemiłą dla czynników politycznych Zw. Radzieckiego. To one stały się niemiłe zaskoczone wystąpieniem całej dywizji AK do wspólnej walki z hitlerowcami. Bo w owym czasie Stalin, usilnie montował w Moskwie nowy rząd polski, złożony z tzw. "Patryjotów Polskich" w Moskwie. Mało kto z nas Polaków słyszał o patryjotach polskich w Moskwie.

Tu nasuwa się pytanie - gdzie oni byli w 1940 r.? Gdy Białostoczczyzna była pod zaborem Sowieckim? Dlaczego wówczas nie tworzyli Demokratycznej Polski? Dlaczego nie stanęli w obronie Polaków mordowanych i wywożonych na Sybir przez NKWD? A za tym, to niemiłe zaskoczenie w akcji "Burza" AK, było po prostu dla Stalina i tych patriotów polskich gołą w oku.

W końcu stycznia 1945 r. ruszył front na Wiźnie. Rosjanie poszli naprzód do Prus Wschodnich. Wkrótce cała Polska znalazła w rękach sowieckich. Tymczasowy rząd polski przeniósł się z Lublina do Warszawy. Koniec wojny z Niemcami nie przybliżył oczekiwanej wolności. Pytano wszędzie: co będzie dalej?

W Zawadach, Tykocinie, Kobylinie i innych okolicznych miasteczkach działały już posterunki MO w Białymstoku i miastach powiatowych - oddziały UB. Funkcjonariusze tych urzędów dawni szulcmani, złodzieje i chuligani zaczęli buszować w okolicy po swojemu. Lepiej gospodarzących nazwano kułakami i zaczęto ich dyskryminować.. ziemię dworską parcelowali i długo czekali na nowoobdarowanych, bo nikt nie chciał prac tej ziemi. Długo czekali w Jezewie na chłopów i dawnych parobków, żeby odebrali przyznaną im ziemię. Potem leżała odłogiem, parobek niechętnie brał się do samodzielnego gospodarowania.

Odłog } Rok 1945. Przyszedł do Kapic Andrzej Lewicki psł "Lis", dawny szef wywiadu Okręgu Białystok, udało mu się gdzieś przetrwać najgorsze - obdarty, obuty w stare drewniaki, ale granaty w kieszeniach i dwa rewolwery za pasem. Spotkałem "Kmicica" z kosą na ramieniu, ale pod nieprzemakalnym płaszczem miał mundur, pas, koalicijkę, nowy automat sowiecki i rewolwer w kaburze a za pasem granaty. Wylazł z siana Adolf Gąsowski psł. "Sęp" - blady, bo dawno nie widział słońca, ale także z pepeszą i rewolwerem. Opuściliśmy i my z "Kłosem" (Adamem Kotowskim) naszą kryjówkę, przyjechali: Sikorski Józef psł "Kuna", Lenczewski Stefan psł "Trzask", Sikorski Henryk psł "Gryf", Babiński Stanisław psł "Ogień" dwaj ostatni ze wsi Babino, przybył Żurawski psł "Norwid" z Koblina, z nim

Dominik Sikorski ps. "Cegła" a dawny komendant SN naszej gminy, Gąsowski Tadeusz ps. "Tytan" rodem ze wsi Bagienki koło Tykocina, Janek "Poznaniak", Wacław Maleszewski ps. "Jaw" ze wsi Jawory - dawny dowódca batalionu Konfederacji Narodowej. Był nieznanymi mi oficer przedwojenny lotnictwa polskiego ps. "Łoś" - niedawno wrócił z niewoli niemieckiej (Stanisław Szymborski). Dowiedziałem się, że jest on mianowany komendantem naszego powiatu na miejsce "Lota". Ze wsi Sierki przybyli Domin Kalinowski ps. "Blask" i jego brat Kazimierz ps. "Wydra". Było jeszcze kilku ludzi, których nie znałem.

Była to pierwsza odprawa konspiracyjna po wkroczeniu Armii Czerwonej. Nikt z nas nie przypuszczał, że po zakończonej wojnie z Niemcami trzeba się będzie nadal ukrywać. W "wyzwolonej" Polsce działały sądy doraźne dla tych, którzy walczyli najdzielniej. Nie dotyczyło to jedynie organizacji podziemnej - w podobnej sytuacji znalazł się żołnierz polski nie składający broni przez cały czas trwania II wojny światowej, idący przez Narwik, Tobruk, Monte Cassino, Anconę wśród ognia i bomb. Nie wymagają komentarza także wyczyny polskich lotników w Anglii lub naszych marynarzy walczących na wszystkich morzach, zawsze z myślą o Polsce wolnej i niepodległej. Kto z ówczesnych młodych Polaków słyszał o Patriotach Polskich w Moskwie, o Wandzie Wasilewskiej, Bolesławie Bierucie, Aleksandrze Zawadzkim czy Władysławie Gomułce, to samo można powiedzieć o tworzonym w ZSRR Wojsku Polskim z generałem Berlingiem na czele.

Jeżeli ZSRR żywił tak przyjazne uczucia dla Polski, dlaczego zadał śmiertelny cios w plecy cofającym się pod naporem hitlerowskim armiom polskim we wrześniu 1939 roku, dlaczego został zawarty pakt Ribbentrop-Mołotow, w jakim celu dokonano wspólnie z Niemcami kolejnego rozbioru Polski, po co w czasie dwuletniej okupacji rosyjskiej na Białostocczyźnie starano się usilnie zrusyfikować Polaków i wmówić im, że Polska na zawsze przepadła, komu zaszkodził nasi oficerowie pomordowani w Katyniu i Kozielsku? Ileż jeszcze podobnych pytań możnaby zadać?

Gdzie byli w tych krytycznych chwilach w/w "Patrioci", dlaczego Wasilewska i Bierut nie organizowali w 1939 roku Ludowego Państwa i Wojska na terenach zajętych przez związek Radziecki?

Czułem się Polakiem i byłem żołnierzem, jak moi koledzy. Gdyby w 39-tym roku Wasilewska stanęła w obronie kraju, poszlibyśmy za nią wszyscy. Teraz, gdy trzeba było stanąć do odbudowy Oj-



~~czynny, młodzi ludzie zebrali się na odprawie aby radzić, jak prowadzić dalszą walkę z nowym okupentem.~~

Odprawa odbywała się w Gnoince Kapickiej. Andrzej Lewicki psł "Lis" zapoznał zebranych z nową sytuacją polityczną oraz z decyzją "Bora" Komorowskiego, który w Londynie wydał rozkaz rozwiązania Armii Krajowej. Na miejsce AK powstały nowe organizacje podziemne. Dawny PZP przyjął nową nazwę: "Wolność i Niepodległość" (WiN), nasza NOW połączyła się z NSZ jako Narodowe Zjednoczenie Wojskowe (NZW). Okręg białostocki otrzymał kryptonim "Chrobry XV" i objął powiaty: wysokomazowiecki - "Mazur", łomżyński - "Olkusz", białostocki - "Bałtyk", grajewski - "Łeba" i Ostrów Mazowiecka - "Zaporoże". Stworzono Komendę Obszaru, której szefem został dotychczasowy komendant naszego okręgu - "Bogdan" (obecnie zmienił pseudonim na "Miecz"), jego stanowisko komendanta okręgu objął kp. "Lis", on z kolei awansował do stopnia majora i przybrał nowy pseudonim "Kotwicz". Jego zastępcą i szefem propagandy został kp. Bolesław Kozłowski psł "Grot".

Szefem organizacyjnym nowej Komendy Okręgu Białostockiego NZW mianowany został kp. Włodzimierz Awramienko psł "Dunajewski", oficer rezerwy wojska polskiego, a zawodu nauczyciel w gimnazjum - dzielny partyzant, dobry dowódca, świetny psycholog, ~~on później rozpracowywał w Sztabie Okręgu najbardziej zawile zagadki kontrwywiadu sowieckiego i ubowskiego. Jego diagnozy były prawie zawsze trafne.~~

Szefem PAS (Pogotowia Akcji Specjalnej) został kp. Romuald Rajs, psł "Bury", dowódca brygady wileńskiej, który w części brygady przedarł się na Białostoczczyznę. Jego zastępcą mianowano por. Kazimierza Chmielewskiego psł "Rekin".

Szefostwo wywiadu objął płk. Żwański psł "Iskra", przedwojenny major, dowódca 71 pułku piechoty w Żambrowie. Przez całą okupację walczył w szeregach NSZ.

Na odprawie zapadła decyzja dalszej walki z nowymi władzami zainteresowanymi przez Armię Czerwoną. Ponieważ nowe władze mordowały członków naszej organizacji, postanowiono odpłacić im tą samą monetą. Komendant "Kotwicz" wydał rozkaz tworzenia nowych oddziałów partyzanckich, przede wszystkim organizowania w oddziały lesne ludzi, którzy się ukrywają i są pojedynczo wyłapywani.

"Kmicic" otrzymał polecenie zorganizowania oddziału PAS na terenie naszego powiatu "Mazur". ~~Drugi oddział organizował koło Szyżewa "Żelik", były członek NSZ (Feliks Iuniewski).~~

~~W innych powiatach w szybkim tempie powstawały oddziały~~

partyzanckie. "Bury" pospiesznie tworzył duży oddział okręgowego PAS.

W skład Sztabu naszego powiatu ("Mazur") weszli: jako komendant - "Łoś", szef wywiadu ppor. Tadeusz Gąsowski ps. "Tytan", szef PAS Stefan Lenczewski ps. "Trzask", szef gospodarczy Adolf Gąsowski ps. "Bęp", szef organizacyjny Adam Kotowski ps. "Kłos" i szef propagandy - Franciszek Żurawski ps. "Norwid", absolwent gimnazjum w Łomży, podczas okupacji niemieckiej d-ca kompanii NOW, później AK na terenie gminy Kobylin pow. wysokomazowiecki. Zawsze spokojny, zrównoważony, zwolennik ścisłej konspiracji, działania z ukrycia i przerzucania ludzi "spalonych" - zdekonspirowanych na inny teren. Jego poglądy i koncepcje nie zawsze znajdowały uznanie wśród naszych wodzów.

[...] Po paru dniach "Kmicic" prowadził znów pokaźną grupę, bo ponad trzydziestu partyzantów. Byłem razem z nim. Czekaliśmy niełatwe zezdanie - aby móc działać i swobodnie się poruszać, trzeba było rozbroić okoliczne posterunki MO.

Posterunek w Zawadach składał się z piętnastu milicjantów. Wśród nich było dwóch naszych ludzi. Komendant tego posterunku był nieznanym nikomu osobnikiem, który od początku dał się we znaki mieszkańcom Zawad i okolicznych wsi, zwłaszcza wówczas, gdy stał front na Wiźnie a w okolicy pełno było sowietów i NKWD-owców. Organizacja sporządziła listę osób, na które wydano wyroki śmierci. Na pierwszym miejscu znalazł się znany z okrucieństw i donosów, chuligan i notoryczny złodziej - Bronisław Matejkowski. Przed wojną karany za kradzież, podczas okupacji niemieckiej napadał i rabował z bronią w ręku. Organizacja wydała już wtedy wyrok śmierci na niego, ale udało mu się umknąć przed karą. Po wkroczeniu Rosjan wylazł z ukrycia i mścił się, jak mógł, na członkach organizacji. Drugim na liście był wspomniany wyżej komendant MO z Zawad, trzecią pozycję zajmował niejaki Cackowski, nie znany mi bliżej.

Pewnego kwietniowego wieczora 1945 roku wpadliśmy zniemacka do Zawad i bez jednego wystrzału opanowaliśmy budynek i rozbiliśmy czternastu funkcjonariuszy. Czterech wyraziło chęć wstąpienia do oddziału, pozostali poszli do swoich domów. Nie zastaliśmy komendanta, ale wywiad doniósł, że jest on u swojej znajomej. "Kmicic" z kilkoma partyzantami udali się niezwłocznie pod wskazany adres i znaleźli go. "Kmicic" zastrzelił milicjanta w momencie, gdy tamten otwierał drzwi i nie zdążył użyć broni, a miał przy sobie rewolwer i granat.



W tym samym czasie kilku partyzantów zjawilo się w mieszkaniu Cackowskiego, odczytali wyrok i wykonali.

Najgorszy bandzior mieszkał u swojej żony na kolonii zawadzkiej. Wywiad stwierdził jego obecność w domu krytycznego wieczora. "Kmicic" po zakończonej akcji szybko zebrał oddział i ruszył ku melinie Matejkowskiego. Była już noc, kiedy oddział prowadzony przez przewodnika otoczył wskazany dom. Kilku chłopców dopadło drzwi, ale były zamknięte i długo nie chciano ich otworzyć. Ustąpiły dopiero pod naporem żelaznego drąga. Obszukano mieszkanie, ale bez rezultatu. "Poznaniak" wszedł po schodach na strych i w momencie, kiedy wchodził na poddasze świecąc latarką, padły dwa strzały. Kula przeszła "Poznaniakowi" czapkę zmuszając go do cofnięcia się. "Kmicic", widząc co się święci, kazał wszystkim opuścić dom. Kryta słomą chałupa paliła się jak pochodnia. Bandyta zszedł ze strychu i mało brakowało, aby przez okno mieszkania zastrzelił "Kmicica" stojącego blisko płonącego domu. Rzucono do wnętrza granaty, posypały się serie z automatów, wszystko było w ogniu. Nie ulegało wątpliwości, że bandzior nie żyje. Padła komenda, aby wszystkie stráže dokoła domu opuściły posterunki, partyzanci zaczęli schodzić się i szykować do odmarszu. W pewnym momencie z otworu zsypu na ziemniaki prowadzącego do piwnicy wyskoczył zbyt późno zauważony skazaniec i uciekając wpadł na jednego z partyzantów. Zanim zaskoczony zdążył się poderwać i wymierzyć z automatu, bandyta był już niewidoczny w ciemnościach. Kilka długich serii trafiło w pustkę. Wydawało się nieprawdopodobne, żeby trzynaściu uzbrojonych po zęby partyzantów wypuściło z rąk jednego człowieka. A jednak zbir miał niesłychane szczęście. Pótniej dowiedzieliśmy się, że był ranny - granat wyrwał mu kilka zębów, uszkodził szczękę i policzki. Wylizak się z ran. Wstąpił do UB w Białymstoku. Często przyjeżdżał w gronie ubowców do Kępic szukając Adolfa Gąsowskiego i mnie. Mojej Matce przystawiał rewolwer do skroni i krzyczał, że zabije, jeżeli nie powie, gdzie ja jestem. Przyszedł czas, że i w UB poznali się na nim, siedział jakiś czas, zwolniony wyjechał na zachód Polski i wszelki ślad po nim zaginął.

W następnych dniach został rozbrojony posterunek w Kobylinie. Wszyscy rozbrojeni funkcjonariusze wstąpili do oddziału "Kmicica", gminę zlikwidowano. Zabrano wszystkie artykuły z dobrze zaopatrzonej spółdzielni.

W międzyczasie "Kmicic" dokonał kilku napadów na sowietów wracających z Nieniec ciężarówkami wyładowanymi po brzegi przeróż-

nymi zrabowanymi tam dobrami. Koło wsi Króle zaskoczył Rosjan pędzących stada bydła i zabrał kilkadziesiąt krów. W odwecie sowieci zbombardowali wieś i okoliczne lasy, spalili kilka gospodarstw i aresztowali kilkunastu gospodarzy.

Latem 1945 roku zostałem powołany z oddziału do pracy na siałce. Otrzymałem awans do stopnia plutonowego i nominację na dowódcę drugiej kompanii NZW. zorganizowanej na terenie Kapic i całej gminy zawadzkiej. W chwili, gdy obejmowałem dowództwo, kompania moja liczyła 100-u członków i była podzielona na trzy plutony. Pierwszy pluton rekrutował się ze wsi: Kapice Stare i Lipniki Milewo, Żółtki Leśne i Zabieline, d-~~ca~~ tego plutonu był Piotr Gąsowski (brat Adolfa) ps. "Filip". Drugi pluton pod wodzą Antoniego Targońskiego, ps. "Grzmot", zrzeszał chłopców ze wsi: Targonie Wielkie - Wity - Krytuły i Łas Toczyłowo. Trzeci pluton to wsie: Zawady, Konopki, Cibory, Sikory - Bartyczki, Chrzczony, Grabowo Stare i Nowe, Strenkowa - Góra, Maleszewo, Chlebiodki, Wieczorki, Witki i Plebanki pod dowództwem Franciszka Grabowskiego ze wsi Grabowo Stare. Poprzednim szerelem mojej kompanii był Władysław Sikorski z Sikor - Bartyczek, plutonowy z wojska, ps. "Wiecher". Był to dla mnie awans nie lada. Powiat "Mazur" w tym czasie liczył szesnaście kompanii NZW. Żadna nie miała dowódcy w tak młodym wieku, skończyłem właśnie dwadzieścia lat. Z zaporem pracowałem intensywnie dla dobra mojej organizacji i ku zadowoleniu moich przełożonych. Batalionem, w skład którego wchodziła moja kompania dowodził "Jaw".

Komendant pow. "Mazur" - "Łoś" (Stanisław Szymborski) został zabity w czerwcu 1946 r. i pochowany na cmentarzu parafialnym ~~Dobroszewice~~ Kościelna, miało to miejsce pod Wysokim Mazowieckim. Nowym komendantem został Zygmunt Paciejowski ps. "Zyndram" rodem z Łodzi. Byłem bardzo lubiany przez mego komendanta, zawsze na odprawach stawiał mnie za wzór i chciał mi dawać na przeszkolenie innych dowódców kompanii i plutonów. Kompania moja w ciągu kilku miesięcy prawie podwoiła swój stan, pod koniec mojej kadencji liczyła 176-ciu ludzi. ~~W wykonywaniu nałożonych zadań dorównywałem mi d-~~ca~~ pierwszej kompanii, Stanisław Babiński ps. "Ogień" - on też zbierał pochwały.~~ Będąc dowódcą kompanii miałem za zadanie werbować i szkolić nowych członków, organizowanie łączności, wywiad, kwatery dla większych oddziałów partyzanckich, organizowanie wyżywienia, szpitali dla rannych, nadzór administracyjny nad miejscową ludnością. Policji nie było, wszystkie sprawy należały do mnie o ile nie byłem w stanie czegoś załatwić - kierowałem wyżej.



W razie większej akcji podrywałem potrzebną ilość ludzi z kompanii i prowadziłem do dyspozycji komendanta powiatu. W krótkim czasie prawie wszyscy moi ludzie mieli broń i amunicję, większość udało mi się umundurować.

Jesienią 1945 ~~ni~~ działał jeszcze posterunek w Tykocinie, do tej pory cały posterunek MO mieliśmy obsadzony swoimi ludźmi. "Ogień" i "Gryf" zarządzili w nim, co pewien czas UB przysyłało tam swoich ludzi, niby - milicjantów, lecz zawsze ginęli oni w potyczkach z partyzantami. W końcu zmienili wszystkich, dali zupełnie nowych, połowa z nich była pracownikami UB. "Ogień" i "Gryf" nie mieli do nich dostępu, byli bezsilni. Nowi funkcjonariusze zaczęli organizować siatkę szpiclowską, w okolicy rozpoczęły się aresztowania. Komenda powiatu wydała rozkaz rozbrojenia posterunku.

"Kmicic" w tym czasie miał mały oddziałek - popadł w niełaskę u swoich przełożonych. Zaczął wiele akcji przedsięwziąć na własną rękę i, co gorsza, z paru rekwizycji takich, jak zatrzymane na szosie sowieckie samochody, wziął do własnej dyspozycji trochę rzeczy, część z nich dał swojej rodzinie, część rozdał według własnego uznania. Trzy czwarte jego oddziałku zabrano i przydzielono do PAS Okręgu pod dowództwem "Burego". Reszta wróciła na siatkę, "Kmicic" chodził z paroma tylko ludźmi, m.in. z Dominem Kalińskim ps. "Blask", jego bratem Kazikiem ps. "Wydra", Kazimierzem Kopczewskim ps. "Warszawiak", Henrykiem Nicieckim z Kapie ps. "Orzeł" i "Poznaniakiem" Jankiem). Szef PAS naszego powiatu "Trzask" otrzymał rozkaz rozbrojenia posterunku tykocińskiego od Komendanta "Zyndrama" i jako serdeczny przyjaciel i dawny kolega "Kmicica", pragnął dać mu okazję do rehabilitacji. W tym celu zaprosił go do pomocy, na co "Kmicic" chętnie przystał. Obaj opracowali plan zdobycia posterunku i w tym celu sięgnęli po ludzi z siatki, także moich. Zebrałem 22 ~~le~~ dziarskich chłopaków, wszyscy z bronią, przeważnie karabinami, czternaście automatów, jeden erkaem, polski browning. Kilkunastu miało rewolwery, każdy po dwa granaty. Zmobilizowałem ludzi o dzień wcześniej, miałem więc czas aby ich przeszkolić, w tej grupie był mój młodszy brat Piotrek ps. "Bajan", rwał się stale do walki, błagał, abym go wszędzie ze sobą zabierał, ulegałem jego prośbom.

Następnego dnia wieczorem przyprowadziłem oddział na punkt zborny, stwierdziłem, że nieźle prezentują się moi partyzanci. Na punkcie zastałem już dużą grupę zebranych, był "Trzask", "Kmicic" i "Ogień" z ludźmi ze swojej kompanii. Był to właściwie mój pierwszy występ bojowy jako dowódcy pokaźnej grupy partyzantów. Na

spotkanie "Trzaska" podałem swoim komendę: "Bacność!", sam stanąłem trzy kroki przed "Trzaskiem" zasałutowałem i zameldowałem: "Panie Komendancie, plutonowy "Wybicki" melduje posłusznie swoje przybycie z kompanią NZW nr 2, stan jeden dwudziestu dwóch".

"Trzask" podał mi rękę, podziękował i rozkazał dać "Spocznij", odsalutowałem, zrobiłem w tył zwrot i podałem komendę: "Bacność! W tył rozejść się!". "Trzask" był bardzo zadowolony, jeszcze raz uściskał mnie, potem serdecznie witałem "Kmicica", "Ognia", "Gryfa" i innych kolegów.

Teraz prawie doba odpoczynku, dopiero następnego wieczora ma przybyć miejscowy oddział WiN, który idzie nam z pomocą. Plan działania był opracowany z najmniejszymi szczegółami. Następnego dnia tuż przed zapadnięciem zmroku do poważnej akcji wyruszyło 146-ciu partyzantów, w większości świeżo upieczonych, wziętych z siatki.

Posterunek liczył 31 funkcjonariuszy, budynek był piętrowy, murowany, podejście niewygodne, zamknięte na noc bramy. Już raz oddział WiN-u próbował ich rozbroić i nie udało się, winowcy odeszli po kilkugodzinnej walce, Milicjanci byli więc ostrzelani i upojeni jednym zwycięstwem, tym razem także nie powinno im zabraknąć ducha. Trzeba działać przez zaskoczenie. W tym celu została wyznaczona drużyna, która miała za zadanie za wszelką cenę wdrzeć się do środka, w razie potrzeby obrzucić wszystkie pomieszczenia granatami i po eksploatacji natychmiast szturmować. Gdyby zaskoczenie nie udało się, oddział otworzy ogień na okna ze wszystkich stron, a drużyna szturmowa pod jego osłoną wdrze się do środka. Drużyna wybierana była na ochotnika, znalazłem się w niej i ja, "Trzask" wyznaczył mnie na dowódcę.

Dołączyła do nas grupa WiN-u, 25-ciu dobrze uzbrojonych ludzi. Maszerowaliśmy, jak się najdłużej dało, terenem zakrytym, dalej wpadliśmy w ogrody i zabudowania i tu już biegnęliśmy. Prowadzili obaj Kalinowscy: "Blask" i "Wydra", znali dobrze każdy zakamarek Tykocina. Chcieliśmy wpaść pod gmach nie od strony rynku i pomnika Stefana Czarneckiego, lecz od strony przeciwnej - południowej, gdyż przy ulicy zawsze stała warta, trzeba było zdjąć ją zniemacka. Znaleźliśmy się na dużym podwórku, około stu metrów odkrytego terenu, w kilku błyskawicznie przebiegnęliśmy tę odległość i znaleźliśmy się pod drzwiami. Znaleźliśmy je zamknięte, okrążyliśmy budynek, żeby spróbować wejść przez drzwi po przeciwnej stronie, po drodze "Orzeł" złapał za kark wartownika i przycisnął go do ściany, reszta wpadła na parter i bez jednego strzału udało się



nam rozbroić dziewięciu milicjantów. Trzech złapali koledzy, którzy otaczali budynek, ci milicjanci biegli z miasta na posterunek. Mieliśmy więc dwunastu ujętych i opanowany parter. Większość zdążyła unknąć na piętro. Skoczyłem na schody prowadzące na górę, stamtąd posypała się w moją stronę seria z automatu, chciałem odpowiedzieć tym samym, ale moja pepesza odmówiła posłuszeństwa. Nie miałem czasu zastanawiać się, co się z nią stało, później okazało się, że ona uratowała mi życie. Dwie kule trafiły w automat akurat w miejscu odpowiadającym położeniu serca. Cofnąłem się wyjąłem parabelum z kabury, wystrzelałem cały magazynek - 9 sztuki. Koledzy strzelali w górę klatki schodowej, ale tamci siedzieli cicho podczas trwania kanonady, kiedy tylko próbowaliśmy iść, strzelali z erkaemu po drewnianych schodach, aż drzazgi leciały na wszystkie strony. Oddział zdążył w międzyczasie zająć dogodnie stanowiska bojowe, w każde okno wycelowany był erkaem i kilkanaście sztuk innej broni. "Trzask" na razie nie otwierał ognia, wiedział, że walczymy wewnątrz, nie znał jeszcze położenia. Niektórzy z oddziału zaczęli zbliżać się do muru, wtedy z okien poleciały granaty na ulicę, trzy sztuki rzucono na schody w naszym kierunku, ale zdążyliśmy skryć się za boczną ścianę. W pewnej chwili wpadł na parter "Trzask" i rozkazał nam wycofać się, sam wycofując się został poważnie ranny w nogę odłamkiem granatu rzuconego z piętra. Odbyliśmy krótką naradę i postanowiliśmy podpalić budynek. Kilku chłopców przyniosło 20 snopów słomy. Obok w sklepie wyszperaliśmy dwie beczki nafty i dużo wiader. Drużyna szturmowa napełniła wiadra naftą i pod osłoną huraganowego ognia naszych dopadliśmy parteru. Jedni wrzucali do pomieszczeń snopy słomy, inni polewali je naftą. Kiedy padło kilka rakiet, cały parter zajął się momentalnie jak pochodnia. Oddział przerwał ogień, w międzyczasie "Kmicic" został odłamkiem granatu ranny w głowę, rana na szczęście nie była groźna, ale bardzo silnie krwawiła. "Trzaska" ponieśli chłopcy do tykocińskiego lekarza, p. Januszewicza. Trząsk się ze strachu, ale przemył ranę, krew zątamował i "Trzask" odjechał furmanką z placu boju. Dowództwo przejął "Kmicic".

Pożar początkowo szalał nieopanowanie, języki płomieni strzelały oknami. Oblężeni zaprzestali ognia, czekaliśmy, kiedy wreszcie zaczną wołać o ratunek i wywieszą białą flagę. Po pewnym czasie pożar zaczął przygasać i zdawało się, że zgaśnie zupełnie. W pewnym momencie, ku naszemu zaskoczeniu, cały dach stanął w płomieniach, posypała się dachówka. Z okien piętra rozległy się błagalne głosy: "poddajemy się! ratunku!". Przynieśliśmy kilka le-

żących w pobliżu sosen i oparliśmy je o okna. Po pniach zjeżdżali w dół milicjanci i ubowcy w pełnym rynsztunku, jak im kazaliśmy, "Kmicic" stał na dole i liczył zjeżdżających. Coś się jednak w rachunku nie zgadzało - brakowało dwóch i to z dowództwa. Podwładni zeznali, że tamci schowali się gdzieś, jak zaczęło się palić, ale gdzie, nie wiadomo.

Zaczynało się już rozwidniać, trzeba było zbierać się szybko do odmarszu, aby schować się w dużym lesie przed wschodem słońca. Przed godziną odjechały furmanki załadowane zdobyczą bronią i towarami z dwóch sklepów spółdzielczych. Mieszkańcy Tykocina nie spali tej nocy, wystraszeni wyglądali spoza firanek, gdy wyruszyliśmy w drogę powrotną. Przed odjazdem "Kmicic" dał rozkaz rozstrzelać trzech spośród rozbrojonych, ich nazwiska znajdowały się na liście skazanych przez organizację. Wyrok został wykonany u stóp pomnika Stefana Czarnieckiego. Innych zwolniono bez żadnej kary.

Po przybyciu na kwaterę w większym lesie prawie natychmiast zmęczeni chłopcy zapadli w sen. W ciągu dnia "Kmicic" dokonał przeglądu zarekwizowanych przedmiotów. Większość artykułów takich jak: wódka, wino, papierosy, zapalniczki, cukierki itp. podzielił między ~~cały~~ cały oddział, pozostałe, jak: materiały tekstylne, artykuły gospodarstwa domowego spakowano w worki i paczki, załadowano na dwa wozy i pod eskortą "Blaska" i "Wydry" powieziono w nieznaną stronę. Wieczorem oddział został zdemobilizowany, odmaszerowałem z moimi ludźmi na teren kompanii.

Ta akcja napędziła wszystkim jeszcze urzędującym funkcjonariuszom wielkiego strachu, starali się nie wychylać nosa z posterunków. W innych powiatach przeprowadzano podobne akcje. Ludność masowo wstępowała w szeregi NZW. Partyzanci zaczęli dyktować warunki i swobodnie poruszali się w terenie. Placówki UB i KBW siedziały pozamykane w Białymstoku i miastach powiatowych. ~~W samym Białymstoku mieliśmy kilka dobrze zorganizowanych grup, które nocami patrolowały całe miasto. Komendantem NZW na miasto Białystok był młody bardzo energiczny porucznik ps. "Beniowski". Jego siostra przystojna dziewczyna o ps. "Żabka" pełniła funkcje łączniczki Komendy Głównej.~~

W kilka dni po akcji tykocińskiej "Kmicic" otrzymał od "Trzacka" rozkaz rozbicia posterunku w Trzcianem. "Kmicic" zebrał czterdziestu partyzantów, zaprosił także mnie. W biały dzień przyjechaliśmy furmankami i rozbiliśmy siedemnastu milicjantów. Przez miasteczko przemarszerowaliśmy śpiewając: "czy przyjdzie nam um-



rzyć wśród boju, czy w tajgach Sybiru nam zgnić...", witani kwiatami i żegnani łzami wyległej na ulice ludności. Wróciliśmy znów obciążeni zdobyczą bronią, amunicją i granatami.

Następnego dnia uderzyliśmy na posterunek w Choroszczu. Komendantem jego był nasz człowiek, przedwojenny zawodowy st. sierżant z wojska ~~ps~~ "Bystry". Sam zażądał, aby rozbroić jego posterunek, bo UB był na jego tropie, palił się grunt pod nogami. Akcja w Choroszczu poszła gładko, komendant "Bystry" z większością swoich ludzi poszedł z nami do lasu. Okolica praktycznie była oczyszczona z nowej władzy sowieckiej. Okręgowy oddział PAS pod dowództwem kp. "Burego" urósł do potęgi zdolnej stawić czoło pułkowi. Przyszli oni na teren mojej kompanii i zakwaterowali we wsiach Nieciece i Hermany.

Białostocki Urząd Bezpieczeństwa chcąc nieco poskromić partyzantkę na naszym terenie, urządził pacyfikację i w tym celu wysłał dwa bataliony KBW. Jeden rozpoczął działalność w okolicy Łap i Sokół, drugi - w okolicach Tykocina. Nasz wywiad bacznie obserwował każdy ich krok. Kiedy "Bury" otrzymał meldunek, że batalion KBW maszeruje z Tykocina w kierunku Nieciec, zarządził alarm bojowy i cały oddział ruszył z kwater do pobliskiego lasu, gdzie skrył się i czekał na dogodny moment. Gdy batalion znalazł się na odkrytym terenie, został zaatakowany z trzech stron jednocześnie. Huraganowy ogień skierowany był w górę, ponad głowy żołnierzy, taki był rozkaz "Burego", który nie chciał ranić ani zabijać Polaków. Powstała niesamowita panika i bałagan w batalionie, na ten widok szwadron kawalerii z oddziału "Burego" pod dowództwem wachmistrza o pseudonimie "Szczygieł" zaatakował ich od tyłu z okrzykiem "Hurra!". Okrzyk powtórzyły dwie tyraliery wysuwając się z lasu. Dowódca batalionu - Żyd w stopniu majora - jeszcze próbował zaprowadzić jakiś ład w swoim wojsku, krzyczał po swojemu "pełna lufa ogień", ale batalion milczał i nagle, jak na komendę około sześciuset żołnierzy podniosło ręce w górę. Nadjechał "Bury" na swoim rumaku, ubrany był w polski mundur kapitana, czapka wojskowa polówka z orłem w koronie, pas, koalicyjna, na ramionach peleryna oficerska, z boku zwisała torba i mapnik, na piersiach lornetka i sten angielski, w prawej ręce trzymał rewolwer Wis. Ten urodzony partyzant i oficer wyglądał wspaniale, spojrzenia miał przenikliwe, głos donośny. Żadne trudy nie były w stanie go załamać. Kiedy nie było jeszcze DDT, ani innych skutecznych środków na insekty, jeden z partyzantów zwrócił się ze skargą do "Burego" że wszy gryzą okropnie. "Bury" odpowiedział mu, że dotąd nie

będzie stuprocentowym partyzantem, dopóki wszy nie objedzą mu naramienników i kołnierza. Mówiąc to odchylił kołnierz swego munduru i ku zdumieniu otoczenia pokazał mu prawdziwą wylęgarnię wyżej wymienionych owadów.

Żołnierze w osłupieniu ze strachu patrzyli na tę wspaniałą postać. On uśmiechnął się do nich i pytał o warunki, w jakich żyli w KBW. Zaczęli nabierać śmiałości i skarżyć się na dowódców Żydów i Rosjan. "Bury" zażartował, że "wczoraj kasza, dzisiaj kluski - wojsko polskie, a rząd ruski". Nie kazał zabierać żołnierzom niczego poza bronią. Przemówił do nich w kilku serdecznych i przyjacielskich słowach, wspomniał o nieszczęściu, jakie spotkało naród polski, że dzięki wrogom - sąsiadom brat strzela do brata. Żyda - dowódcę rozbrojonego batalionu kazał rozstrzelać. Wszystkich pozostałych oficerów i żołnierzy odesłał do domów. Większość chciała przystąpić do partyzantki, niektórzy prosili, błagali, Nie przyjęto nikogo. Zdobyto masę różnej broni, ponad dwadzieścia erkaemów rosyjskich, stosy automatów i karabinów, dziesiątki tysięcy sztuk amunicji i setki granatów oraz kilkadziesiąt rewolwerów. Dwie godziny później cały oddział "burego" siedział już na wozach konnych i ruszał szybko w kierunku Sokół. "Bury" planował dopaść drugi batalion pacyfikacyjny, który rozpoczął swe urządowanie w okolicach Sokół. 1 stycznia 1946 r. "Bury" rozbroił batalion KBW pod Tykocinem we wsi Hermany, a wieczorem w Sokółach.

~~Wieczorem "Bury" atakował Sokół. Batalion KBW zakwaterował w miasteczku, tu wywiązała się walka, kilka domów zajętych przez żołnierzy zostało zdobytych, ale dowództwo rozlokowało się na nierozbrojonym posterunku MO. Wszyscy milicjanci byli swoimi ludźmi, należeli do WiN-u. Znaleźli się w bardzo przykrych sytuacji, ponieważ oficerowie KBW zaczęli się bronić i tym samym zmusili milicjantów do strzelania. Po kilkuminutowej strzelaninie "Bury" dał rozkaz przerwania ognia. Swoim donośnym głosem wezwał oblężonych do kapitulacji warunkowej, obiecał, że żadnemu z oficerów włos z głowy nie spadnie. Oficerowie KBW prosili, aby zostawić ich w spokoju, a jutro odjadą i zaniechają pacyfikacji. "Bury" zagroził, że o ile nie pooddadzą się w ciągu pięciu minut, użyje artylerii. Oddział dysponował sześcioma rusznicami przeciwpancernymi i kilkunastoma pancerfaustami. Ustawiono rusznice i oddano po dwa strzały w budynek, następnie wystrzelono dwa pancerfausty, jeden trafił w okno i narobił dużego spustoszenia, drugi upadł na dach i wznicił pożar. KBW wysłało swego parlamentarzystę z propo-~~



bą o przerwaniu ognia, postawili warunek, że odejda z krótką bronią. "Bury" zgodził się. Walka została zakończona, cały batalion poddał się, zabrano długą broń, krótką według umowy pozostawiono. Ofiar na szczęście nie było, tylko po kilku rannych po każdej stronie. Znow stopy broni załadowano na furmanki i oddział ruszył w drogę powrotną. Zakwaterował jak poprzednio, na terenie mojej kompanii, tym razem we wsi Chlebiedki.

"Bajan", mój brat, wstąpił do oddziału "Burego", już drugi tydzień działał w pierwszym plutonie porucznika "Bitnego", drugiej drużynie kaprała "Ładunka". Rwał się do wojaczki i znalazł odpowiednie miejsce. Ten oddział nie próżnował, ciągle toczył boje i potyczki, "Bury" nie chował oddziału przed wrogiem, ciągle szukał spotkania z nim. Rozbroił dotąd kilkanaście posterunków MO, zatrzymał kilka pociągów, w których odebrał broń wszystkim wojskowym, zarówno Polakom, jak i Rosjanom, stoczył cały szereg bitew, Każdy dzień miał zapach krwi i dymu prochu. Mój brat w rozmowie ze mną narzekał na rygor i trudne życie. Wyżywienie mieli bardzo skromne, żyli właściwie z jałmużny, mundury i buty były zdobyczne i przydzielane po akcji, samemu nie wolno było niczego ruszyć. Brat opowiedział mi kiedyś o pewnym znamienym wydarzeniu. Jeden z jego kolegów miał porwane spodnie i zobaczył na kwaterze wiszące na wieszaku wojskowe spodnie gospodarza, chłopiec zamienił stare na nowe, należące do gospodarza. Przed wymarszem, na wieczornej zbiórce zjawił się chłop i zameldował "Buremu" o zgubie. Drużyna kwaterująca u tego gospodarza wystąpiła z szeregu, chłop poznał swoje spodnie. Partyzantowi kazano się znow przebrać i na miejscu odbył się sąd polowy i skazał winnego kradzieży na karę śmierci. Chłop dostał szoku nerwowego, chciał oddać spodnie, błagał "Burego" i Sąd o litość dla partyzanta, ale nic nie pomogło - wyrok został wykonany na oczach całego oddziału i właściciela nieszczęśliwych spodni.

Każdego dnia na apelu, czytając rozkaz dzienny przypominano partyzantom, czego nie wolno robić i za co grozi kara śmierci. Kula w łeb za zdradę, dezercję, gwałt, kradzież, nadmierne użycie alkoholu, zaśnięcie na warcie, niewykonanie rozkazu. Widziałem, że mój brat ma już dosyć partyzantki, poznał szybko wszystkie jej rozkosze i chętnie wróciłby do domu, ale nie było to teraz proste, a moja funkcja w organizacji była zbyt mała, abym mógł mu pomóc. Wkrótce oddział odmaszerował i rozstałem się z bratem na kilka tygodni.

Ogólnie biorąc na terenie mojej kompanii był spokój. Na rozkaz dowódcy batalionu "Jawa" dokonałem alarmu całej kompanii. Była

to niedziela - w ciągu dwóch godzin wszyscy stawili się w umówionym miejscu w lesie koło wsi Konopki. Prawie wszyscy byli uzbrojeni, broni dostarczył nam oddział "Burego". Gorzej było z amunicją dużo jej zużywali moi podwładni strzelając na wariat. Kompania tego dnia odbyła ćwiczenia bojowe: strzelanie do celu, obchodzenie się z granatami i ogólna musztra. Wszystko odbywało się w biały dzień, teren był wolny od wroga i można było robić, co się chciało. W tym czasie całe oddziały partyzanckie przychodziły do kościoła na nabożeństwo, ludzie z siatki chodzili w mundurach i z bronią. Każda wieś stała się twierdzą, szpicli nie było, a jeśli trafił się gdzieś jakiś dobrze zakonspirowany, bał się własnego cienia.

Odwiędził mnie szef wywiadu na nasz powiat, Tadeusz Gąsowski ps. "Tytan". Rozmawiał ze mną głównie o "Kmicicu", "Blasku" i "Wydrze". Robił dochodzenie w sprawie rozbrojenia Tykocina, a przede wszystkim wokół zarekwirowanych rzeczy, badał sprawę samochodów z Ukraińcami zatrzymywanych na szosie, interesowały go akcje, których dokonał "Kmicic". Dobrze żyłem z "Tytanem", więc próbowałem coś z niego wyciągnąć na ten temat, ale nie udało mi się. Domyślałem się, że prowadzi śledztwo w sprawie "Kmicica" i stąd ta niełaska, jaką zauważyłem już dawniej. Parę dni później przyszedł oddział z powiatu "Łaba" i zakwaterował na terenie mojej kompanii. Od kolegi z tego oddziału dowiedziałem się, że "Kmicicowi" grozi najwyższy wymiar kary. Nazajutrz odnalazłem "Kmicica" i czułem się w obowiązku ostrzec tego pioniera partyzantki, weterana wszystkich walk, mego dawnego dowódcę i komendanta. Myślałem, że moje ostrzeżenie pozwoli mu zejść z błędnej drogi i że on zdąży jeszcze wszystko naprawić. Zresztą z drugiej strony, myślałem sobie, co on aż takiego złego zrobił, czy to, że wziął trochę ciuchów i gratów zdobytych przez siebie, mogło go narazić na wyrok śmierci? Swoją majątek stracił, jego kilkudziesięciohektarowe gospodarstwo było kompletnie zrujnowane, matka i siostry ukrywały się, brat Mieczysław zginął z rąk Niemców, drugi brat - Bolesław walczył w partyzantce. Powiedziałem "Kmicicowi", co wiem na jego temat. Nie zrobiło to na nim wielkiego wrażenia. Wzruszył ramionami i odpowiedział mi obojętnie, że nie widzi przyczyny, dla jakiej miałby go zabić, zresztą kto mógłby ten wyrok wykonać, chyba "Bury", bo poza nim nie widzi nikogo godnego tej roboty - śmiał się butnie.

Przyjechał w nasze strony cały sztab Okręgu "Chrobry" z Komendantem majorem "Kotwiczem". Wezwany na rozmowę "Kmicic" pokłócił



się z "Kotwiczem", kazał komendantowi najpierw nauczyć się poprawnie mówić po polsku, a później wydawać rozkazy. "Kotwicz" był Kresowiakiem, mówiąc, zaciągał trochę z wileńska. Ci dwaj dawni przyjaciele rozstali się teraz z gniewie. "Kotwicz" miał wiele do wdzięczenia "Kmicicowi", w najgorszych chwilach "Kmicic" był przy nim i wyciągał go z oparów, niejedną noc przespali razem pod krzakiem jałowca. Było jednak coś, co ich dzieliło: piękna łączniczka naszej organizacji, Urszula Pogorzelska sympatyzowała w "Kmicicu" zaś w niej zakochał się "Kotwicz". Dziewczyna nie zdawała sobie sprawy, co mogło wyniknąć z takich powiązań.

Dostałem rozkaz stawić się na odprawę w Babinie, podobny rozkaz otrzymał też "Kmicic". Wzywał nas "Trzask", który leczył tam swoją ranę odniesioną w Tykocinie, rana uparcie nie chciała się goić. Miał schron urządony w stogu siana, chodził o kuli, zmizerniał, oczy mu się zapadły. "Trzask" urzędował na wyspie w Rzędzianach (mało dostępna wysepka na Narwi). Po odprawie wraz z "Kmicicem" udaliśmy się na kolonię wsi Sawino, do znajomych "Kmicica". Był ranek i już zupełnie widno. Ledwo zdążyliśmy usiąść w mieszkaniu, kiedy wpadł syn gospodarzy z krzykiem, że idą Rosjanie. Byliśmy w mundurach i pełnym uzbrojeniu. Przez okno zobaczyliśmy Rosjan już blisko posesji naszego gospodarza. Wyskoczyliśmy z domu z bronią gotową do strzału prosto na spotkanie rosyjskich oficerów. Zauważyli nas z odległości trzydziestu metrów i stanęli jak wryci. "Kmicic" krzyknął: "Ruki wwierch" - obaj podnieśli ręce w górę. "Kmicic" zabrał im broń, dokumenty i portfele, zdjął zegarki z rąk wymierzył każdemu kopniaka w siedzenie i takim samym, jak poprzednio tonem krzyknął: "damoj!". Kacapi oburzeni dopytywali się, kim jesteśmy, w odpowiedzi usłyszeli, że polską policją. Odgrążali się że złożą na nas zażalenie w Białymstoku, ale nie wiedzieli w dalszym ciągu, kim naprawdę jesteśmy. "Kmicic" dał mi jeden rewolwer TT z kaburą i przykazał nikomu nie wspominać o zajściu, nawet gospodarzom. Wiedziałem, co mi grozi za taką tajemnicę, ale kiedy dawny komendant przydzielał mi rewolwer, nic innego nie wypadało, tylko podziękować. Wróciliśmy na mój teren.

"Kmicic" zwerbował kilku partyzantów i ukrywał się z nimi, nie pełnił żadnej funkcji. Sztab Okręgu "Chrobry" kwaterował w pobliskiej wsi Jamiołki k/Sokół. Ochronę sztabu stanowiła Żandarmeria Okręgowa, oddział złożony z 22-ch ludzi, specjalnie dobranych i przeszkolonych. Dowódcą żandarmerii był Tadeusz Makarewicz ps. "Ciemny", rodem z Łap. Jego zastępcą, Jan Skowroński ps. "Cygan"

był moim dobrym znajomym, za okupacji niemieckiej chodziliśmy razem z "Kmicicem".

Przyjechał do mnie rowerem "Czuma" i przywiózł pismo z Komendy Okręgu do "Kmicica". W rozmowie dał mi do zrozumienia, że z "Kmicicem" jest źle, nie radzi mi, abym przebywał w jego towarzystwie. Pismo zostawił u mnie i prosił o doręczenie adresatowi. Zrobiłem to już następnego dnia i jeszcze raz wystąpiłem z ostrzeżeniami. Prosiłem "Kmicica", aby się gdzieś dobrze schował i przeczekał, ale wyśmiał mnie tylko.

Trzy dni później przyjechał "Tytan" i zabrał mnie na odprawę w Jamiołkach. Zjechali tam komendanci powiatów, dowódcy batalionów i kompanii. Zameldowałem się u Komendanta "Zyndrama". Przyjął mnie oziębło, nie był w humorze. Zdałem mu sprawozdanie, rozruszał się nieco, ale w dalszym ciągu był jakiś dziwny. ~~Przy okazji poznałem całą Komendę Okręgu. Podobał mi się szef organizacyjny kp. "Dunajewski" i plk. "Iskra".~~ Komendant "Kotwicz" podał mi rękę, ale patrzył spode łba, zawsze miał srogie spojrzenie, ale tym razem wyjątkowo nieprzyjemne i groźne. Poszedłem do żandarmerii okręgowej i tam przeraziłem się tym, co zobaczyłem. "Ciemny" miał dwa rewolwery, jeden do złudzenia przypominał mi rewolwer "Blaska" Tadeusz Kozakiewicz ~~ps~~ "Wis" miał rewolwer "Wydry", u "Trojdana" Janka Trojanowskiego, szwagra "Dunajewskiego" poznałem automat niemiecki szmajser, który nosił "Blask". Zebrałem się na odwagę i zapytałem "Ciemnego", czy oni przypadkiem przez pomyłkę nie rozbroili moich znajomych partyzantów. "Ciemny" odpowiedział, że dowiem się niedługo o wszystkim.

Podczas przerwy w odprawie rozmawiałem z kp. "Dunajewskim" i stwierdziłem, że ma on szturmową kaburę, którą parę dni temu zdobyliśmy razem z "Kmicicem". "Cygan" miał automat "Kmicica". Musiało stać się coś strasznego, niecierpliwie czekałem na wyjaśnienie, nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Odwołałem na bok "Czumę" i zapytałem wprost, co się stało z "Kmicicem". Ujął mnie pod rękę i zaprowadził mnie do pustego mieszkania i tam, bez świadków wyjawiał mi fakt, którego obawiałem się najbardziej: "Kmicic", "Blask" i "Wydra" nie żyli. Przedwczoraj wykonano na nich wyroki śmierci, zgładzono ich w sposób podstępny i znienacka.

Rozpłakałem się jak małe dziecko, nie mogłem się powstrzymać. "Czuma" ostrzegał mnie, abym w gniewie nie popełnił jakiegoś głupstwa. Po chwili wyszedł i doniósł o wszystkim "Dunajewskiemu". Później dowiedziałem się, że był wtyczka Komendy Okręgu.



Po mniej więcej godzinie wezwał mnie "Dunajewski" i zrobił mi wykład nazywając "Kmicica" złodziejem i zwykłym bandytą. Podobną rozmowę przeprowadził ze mną "Kotwicz". Moje łzy zrobiły jednak pewne wrażenie, największe chyba na pułkowniku "Iskrze" i "Zyndramie". Pułkownik długo dyskutował na ten temat z "Zyndramem", słyszałem, że zastanawiali się, czy wyrok nie został wydany zbyt pochopnie.

Wróciłem z Janiołek jak podcięty, mój dotychczasowy zapalnik znikł, straciłem wszelką ochotę do dalszej pracy. Za wszelką cenę pragnąłem dowiedzieć się, gdzie zostało pochowane ciało "Kmicica". Trafiłem na ślad, już wiedziałem, gdzie go zabili. Była to Kolonia wsi Milewo Zabielne u gospodarza Grochowskiego. Tam zwabiono go niby na odprawę i zniemacka zastrzelono przy stole podczas posiłku. Przy stole siedziało ich ośmiu, w pewnym momencie "Kmicic" nie chcący upuścić widelec i schylił się, aby go podnieść, wtedy "Czuma" strzelił mu w głowę. "Czuma" jego dawny żołnierz, po którym czegoś podobnego nigdy by się nie spodziewał.

"Blaska" i "Wydrę" w podobny sposób zastrzelono na kolonii wsi Pogorzalki. Ciała zostały pochowane w lesie, zabroniono ujawniać miejsce ich spoczynku. Chodziłem po lesie wokół tej kolonii i szukałem świeżej ziemi, ale bez rezultatu. Wówczas postanowiłem, że nie spocznię tak długo, dopóki ciało "Kmicica" nie znajdzie się na cmentarzu. Okropne to były czasy, brat zabijał brata za byle jakie przewinienie. "Kmicic" był trochę winien, nie był człowiekiem bez skazy. Popełnił dużo różnych głupstw i przestępstw, ale jego zasługi stokrotnie przewyższały złe czyny. Można go było zawiesić w czynnościach, przerzucić na inny teren, zdegradować, ale nie zabić. Ten człowiek, który zdawało się, niczego nie robił bezmyślnie, nigdy nie pił wódki, nie palił papierosów, przed każdą akcją długo myślał i naradzał się, zginął tak ponurą i niehonorową śmiercią.

Gdy "Trzask" dowiedział się o śmierci "Kmicica", przyjechał do Komendy Okręgu wsparty na kulach, zrobił majorowi "Kotwiczowi" awanturę w obecności wszystkich członków sztabu. Dawał majorowi swój rewolwer i prosił, aby dobił go do reszty. W czasie ostrej wymiany zdań zapytał, czy przypadkiem Urszulka nie przyczyniła się do śmierci "Kmicica". "Kotwicz" zagryzał wargi, ale z "Trzaskiem" nie mógł postąpić tak jak z "Kmicicem". "Trzask" miał większy autorytet wśród partyzantów, człowiek bez skazy, znany i ceniony przez Komendę Obszaru samego "Miecza", znali go też przedstawiciele Komendy Głównej. Komenda Okręgu szybko wydała rozkaz, rozkolportowany na teren całego Okręgu, podając w nim o wykonaniu wyroków na

"Kmicicu", "Blasku" i "Wydrze".

W parę tygodni po tych przykrych wypadkach zginął "Trzask". Został osaczony przez NKWD w swojej kryjówce w stogu siana. Bronił się długo, strzelał, dopóki starczyło mu amunicji, w końcu zastrzelił się sam. Zginął śmiercią bohaterską i został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Virtuti Militari.

Wkrótce po śmierci "Trzaska" oddziały NKWD i UB otoczyły Kapice. Podczas oblawy uciekał ze wsi Dominik Sikorski psł "Cegła". Kula dosięgła go i ranny w nogę upadł. Położyli rannego na wozie i bezlitośnie bili batogami.

UB i NKWD rozpoczynało na dobre walkę z partyzantką. Coraz częściej wpadali znienacka do wsi i czasami udawało się im kogoś złapać. We wsi Jamiołki ujęli "Burzę" - dowódcę miejscowej kompanii, sztab zmuszony został przenieść swoje kwatery w inne miejsce i do wyszukania nowych kwater wyznaczył mnie. Zaproponowałem Targonie Wielkie i "Kotwicz" zgodził się. Major z Urszulą zamieszkali u członka organizacji - Edwarda Płońskiego psł "Pilnik", "Dunajewski" u mego wuja Andrzeja Tatgońskiego, pułkownik "Iskra" u Mieczysława Zajkowskiego, kp. "Grot" zakwaterował koło Kolnina we wsi Franki i dojeżdżał do Targoń.

Mój bezpośredni zwierzchnik, komendant powiatu, por. "Zyndram" był stale ze mną. Nie był specjalnie zadowolony z tego, że sztab przybył na teren jego powiatu i mojej kompanii. Tkwiłem cały czas przy sztabie, ciągle jakieś rozkazy, meldunki itp. sprawy. Targonie roiły się nowymi twarzami, tysiące partyzantów przyjeżdżało z całego województwa.

Komenda Okręgu wydała rozkaz przygotowań do większej akcji. Ze wszystkich powiatów ściągnięto czynne oddziały leśne, nadszedł oddział "Burego". Dostałem rozkaz zmobilizowania kilkunastu ludzi z mojej kompanii. Zebrałem sześćdziesięciu i pomaszzerowałem z nimi na punkt koncentracji w Lasach Garbowskich. W drodze dołączył do nas por. "Zyndram", "Kłos" i "Tytan". Koło wsi Franki natknęliśmy się na podobną grupę partyzantów z innej kompanii, tamci widząc, że nadciąga jakiś oddział, bez ostrzeżenia zaczęli strzelać do mojej kompanii, a właściwie do szpicy, w której i ja się znajdowałem. Mój oddział posuwający się w odległości stu metrów za szpicą nie potrafił rozwinąć się w odpowiedni sposób i powstał straszny bałagan. Dopiero po wycofaniu szpicy z przedpola dopadłem całości i szybko zaprowadziłem porządek, rozwinąłem tyraliere i zaczęliśmy nacierać na wieś. W międzyczasie doszło do porozumienia, ogień przerwano. W pobliżu miejsca tego incydentu nadciągnęła żandarmeria okręgowa z kp. "Dunajewskim" na czele. Pomimo zaszłej pomyłki



"Dunajewski" chciał zobaczyć, jak zachowali się podczas walki rezerwowi z siatki. Przeszedł wzdłuż rozwiniętej tyraliery i pochwalił "Zyndrama" za doskonałą postawę bojową ludzi. "Zyndram" pochwałę przyjął, a wieczorem na kwaterze ścisnął mnie i dziękował za uratowanie honoru. Przyrzekł podać mnie do awansu. Słowa dotrzymał, bo w kilka tygodni później Komenda Okręgu zatwierdziła mój awans na sierżanta.

Tym razem nie doszło do akcji planowanej przez Komendę Okręgu. Miano rozbić powiatowe UB i MO w Wysokim Mazowieckim, ale pare dni przed planowanym rozpoczęciem akcji do miasta przybył cały pułk KBW. Komendant "Zyndram" postanowił zatrzymać część ludzi z siatki i z nich zorganizowano oddział powiatowy PAS. Dowódcą oddziału mianowano starszego sierżanta z dawnej brygady wileńskiej od "Burego" ps. "Stalowy". Pozostałem na parę dni w nowopowstałym oddziale wraz z innymi ludźmi. "Stalowy" wkrótce rozbiorł posterunek MO w Poświętnym i nowy w Sokołach, akcje odbyły się bez walki.

Był już listopad 1945 roku, słońca i zimno mocno dawały się we znaki partyzantom. "Stalowy" każdej nocy przyjeżdżał dziesiątki kilometrów chłopskimi furmankami. Przeziębilem się podczas tych rajdów i dostałem czyraków, zwłaszcza na lewej ręce, która mi spuściła i okropnie bolała. Na kwaterze za Brańskiem poczułem się bardzo źle, wobec tego "Stalowy" doradził mi, abym odjechał w swoje strony i tam się leczył. Dał mi chłopca z furmanką i dobrymi końmi, zdjąłem wojskowy płaszcz, na mundur włożyłem ciepły chłopski kożuch i czapkę, pod wiaźką słomy schowałem automat, torbę z granatami i amunicją, pistolet w kaburze miałem pod kożuchem. Pożegnałem kolegów i odjechałem. Od Kapic dzieliło mnie 35 kilometrów. Gospodarz popędzał dobrze konie, koło obiadu byliśmy w Sokołach. Miałem gorączkę i męczyło mnie pragnienie, kazałem podjechać pod prywatny sklepik, gdzie sprzedawano piwo i oranżadę. Kiedy pijąc w sklepiku oranżadę, spojrzałem przez okno i zdębiałem widząc na mojej furmance dwóch rosyjskich oficerów wyrrywających chłopu leżce. Przekożyłem rewolwer z kabury do kieszeni kożucha, wyszedłem do nich, upewniłem się, że więcej ruskich nie widać. Pomyślałem, że dojdzie do strzelaniny, trzymałem palce na spuście. Przyskoczyłem do nich i ostro zapytałem, czego chcą. Odpowiedzieli, że potrzebna im podwoda, poszli k czortu, bo będę strzelał. Zauważyli, że trzymam rękę w kieszeni i zeskoczyli z wozu, chłop zaciął konie batem i odjechaliliśmy, Kacapi pobiegli w przeciwnym kierunku.

W tym czasie stał w Sokołach pociąg wyładowany ruskim wojskiem.

Ci dwaj pobiegli i po paru minutach przed sklepem było już kilkunastu z automatami i karabinami, ale ja dojeżdżałem już do pobliskiego lasu, Gdy byliśmy bezpieczni, powiedziałem gospodarzowi, że wypróbuję rewolwer, zobaczę, jak by się spisał, gdyby Rosjanie nie zechcieli opuścić furmanki. Chłop też był ciekawy. Strzeliłem, ale tylko raz, rewolwer zaciął się tak, że przez kilka minut nie mogłem wprowadzić następnego naboju do lufy. Wtedy przyrzekłem sobie że nie ruszę się nigdzie bez dwóch rewolwerów.

Zastałem w Targoniach sztab kwaterujący tam w dalszym ciągu. Pierwszego spotkałem Komendanta Okręgu, który przyjął mnie serdecznie, jeszcze nie skończyłem się meldować, kiedy "Kotwicz" powiedział: "siadajcie, kolego "Wybicki", stęskniłem się za tobą, Lutek". To było nieomylną oznaką, że wracam do jego łask. Kazał podać wódkę i zakąskę, pił ze mną i wypytywał o nowiny. Jakoś nie bardzo był poinformowany o wydarzeniach w terenie. Nie wiedział, kto rozbroił posterunki w Sokolach i Poświętnym. "Zyndrama" nie było w Targoniach już od paru dni. Przy "Kotwiczu" rezydował na stałe "Dunin", Adolf Gąsowski (poprzedni pseudonim "Sęp"). Adolf pełnił funkcję adiutanta Komendanta Okręgu.

W mojej kompanii nie działo się nic godnego uwagi. Organizacja WiN zaczęła działać aktywniej. Zorganizowali mały oddział partyzancki pod dowództwem "Znicza" (Waniewski z Meżenina). W Zawadach mieli kilkunastu dosyć energicznych ludzi, m.in. nauczyciela szkoły podstawowej - Kiełczewskiego i przedwojennego przodownika policji - Józefa Wiśniewskiego. W powiecie wysokomazowieckim mieli kilka kompanii i dobry oddział dywersyjny pod wodzą Kazimierza Kamińskiego ps. "Huzar" - przedwojenny podchorąży, dzielny i mądry człowiek. W Kapicach stacjonował "Kubuś" i jego szwagier "Trzynastka". Latem 1945 r. WiN miał wpadkę - Rosjanie nakryli ich radiostację, kilku ludzi zabili, kilku wzięli żywcem. Zginął m.in. Stanisław Piekarski. Udało się uciec Ludwikowi Iwasińskiemu. Aresztowani zostali: Zbigniew Reczko, "Trzynastka", Tadeusz Gołaszewski i Lucjan Jabłoński. Wsadzono ich do więzienia w Białymstoku, szybko odbyła się rozprawa sądu doraźnego, wszyscy otrzymali wyroki śmierci. Kiedy czekali na wykonanie, Tadeusz Gołaszewski w celi znajdował z chleba pistolet. Wieczorem, gdy oddziałowy wszedł do celi na apel, Gołaszewski i kilku wtajemniczonych więźniów posługując się tym pistoletem obezwładnili oddziałowego i zaraz zrobili to samo z drugim na korytarzu. Zaorali klucze i potwierdzali cele całego oddziału. Gołaszewski z kolegą przebrali się w mundury oddziałowych i dotarli do głównej bramy. Po drodze spotkanych kławiszki terroryzowali tym samym ulepionym pistoletem. Przy bramie zdobyli



już prawdziwą broń, którą rozbili dwóch strażników na Socianach. Z dwóch oddziałów uciekli wszyscy więźniowie, ocalał m.in. "Trzynastka". Następnego dnia był już ukryty u mnie. On należał do Wilna ja do NZW, czasami dyskutowaliśmy o sprawach naszych organizacji i zawsze zgodnie ubolewaliśmy nad podziałem przynoszącym ogromne straty jednym i drugim.

[...]

W Jeżewie uruchomiony został browar pod zarządem państwowym. Dostałem rozkaz zabrania pieniędzy z kasy. Zaproponowałem "Trzynastce" udział w akcji, zgodził się chętnie, wzięliśmy kilku ludzi z siatki i pojechaliśmy w dzień.

Podjechaliśmy ulicą pod sam browar i już wchodziliśmy w brame, gdy nagle spostrzegliśmy na podwórzu browaru około pięćdziesięciu ruskich żołnierzy oraz tankietkę i ciężarowy samochód. Zrobiliśmy w tył zwrot i chyłkiem uciekliśmy do lasu. Chyba nas nie zauważyli, bo już byłoby po nas. Byliśmy zgodni co do tego, że nasi widzieli nas i postanowiliśmy czekać, aż odjadą. Po godzinie wyjechała tankietka, za nią samochód pełen Rosjan. Pojechali w kierunku Białego stoku. Wróciliśmy do browaru. Kierownik domyślił się, kim jesteśmy, drżał ze zdenerwowania i prosił nas, abyśmy uciekali, bo przecież chwilą było tu NKWD, aresztowali księgowego i w każdej chwili mogą wrócić. Odpowiedzieliśmy, że byliśmy tu także, widzieliśmy wszystko, też przyszlismy po kasę i piwo. W kasie było ponad 100.000 zł. w dawnej walucie, zarekwirowaliśmy całość. "Trzynastka" wystawił pokwitowanie na pieniądze i 1.000 litrów piwa, które załadowaliśmy w beczkach na wóz. Powrót odbył się bez przygód. Piwo otrzymał sztab okręgowy w Targoniach, pieniądze przekazałem "Zyndramowi" do kasy powiatu.

W okolicy grasowała banda złodziei, skradziono gospodarzom kilka par koni. Wywiad nasz dwoił się i troił w poszukiwaniu koniokradów działających z bronią. Do poszukiwań mobilizowały nas szepety złośliwych, twierdzących, że to partyzanci kradną na własną rękę. Pierwszy trafił na ślad "Gryf" i ujął dwóch złodziei z Tykocina. Przywiózł ich do sztabu na przesłuchanie. Złodzieje przyznali się do stawianych im zarzutów. Przerzucali konie za Narew do Burzyna koło Jedwabnego w powiecie łomżyńskim.

Sztab wysłał "Gryfa" i mnie na Burzyna z rozkazem złapania pośredników, którzy skradzione konie przechowywali, a następnie sprzedawali na jarmarkach. "Gryf" miał przy sobie pięciu partyzantów i ja wziąłem z mojej kompanii dziesięciu. Pojechaliśmy w dzień trzema furmankami. Po drodze zajechaliśmy do Jedwabnego, w miasteczku zastaliśmy duży oddział partyzantów z powiatu "Zaba", czekali już trzeci dzień na UB z Łomży. Ich miejscowy wywiad do-

niósł, że UB wybiera się do Jedwabnego aresztować członków organizacji. Kiedy nasz patrol mijał roгатkę, myśleli, że mają UB-ców ale coś się nie zgadzało: nie z tej strony jechali i za mała grupa. Po chwili zobaczyłem dwóch dowódców batalionów z powiatu "Łaba" i poznałem ich, a oni mnie. Byli to "Topór" i "Zorza". Zabrali nas na obiad do miejscowej restauracji, przyszedł i trzeci - "Łoś" poznałem szefa PAS "Sępa". Na ich terenie oddziały NZW działały niemniej energicznie, niż na naszym. Posterunki MO nie istniały, poza Łomżyńskim, gdzie siedzieli w grubych murach, ale i tam nie czuli się zbyt bezpieczni. Dwukrotnie nasi próbowali zdobyć ten posterunek, ale nie udało się.

Po smacznym i zjedzonym w miłym towarzystwie obiedzie dostaliśmy przewodnika i ruszyliśmy w dalszą drogę. W Burzynie odnaleźliśmy złodziejską melinę usytuowaną na kolonii. Były tam trzy konie pochodzące z kradzieży, zabraliśmy konie i właściciela meliny. W drodze powrotnej wstąpiliśmy na kolację do miejscowego proboszcza. Kolacja była słaba, bo okolica znoszona przez front, więc i proboszcz biedny, ale mieliśmy okazję poflirtować z dwiema ładnymi gosposiami księdza.

Późno w nocy przybyliśmy do Targów. Rano wznowiono śledztwo, podczas konfrontacji złodziei zostało ujawnione jeszcze jedno nazwisko: Mieczysław Narutowicz z Jeżewa Nowego wskazywał gospodarzy posiadających lepsze konie. Natychmiast wsiadłem wraz z kilkunastu partyzantami na wóz i pojechaliśmy po niego. W Jeżewie uświadomiłem sobie, że ten człowiek jest moim dobrym znajomym, mężem mojej koleżanki. Ale rozkaz jest rozkazem. Z ciężkim sercem kazałem Narutowiczowi siadać na wóz i jechać ze mną, a gdzie, dowie się na miejscu. Błagał mnie, abym powiedział o co chodzi. Gdy zbliżaliśmy się do celu podróży, wyjąłem mu, że został ciężko oskarżony i o ile jest winien tych czynów, nie chciałbym być w jego skórze. Nicch nie liczy, że będę go bronił. Wyznał mi, że należy do WiN-u i myśli, że w związku z tym mamy do niego jakieś pretensje. Zapreczyłem i uchyliłem rąbka tajemnicy. Widziałem, że się uspokoił i poczuł pewniej, był chyba niewinny, ale co będzie, jeśli złodzieje go oskarżą? Poradziłem Narutowiczowi, aby stawił się na konfrontację wśród kilku cywili w jego wieku. Po przyjeździe poprosił o to majora i major się zgodził. Postawiono Narutowicza i trzech cywili, wprowadzono złodzieja. Ten rozejrzał się i powiedział, że Narutowicza tu nie ma. To samo zeznał jego kumpel. Niedoszły wspólnik złodziejskiej paczki został zwolniony, ale nie ośzedł. Poprosił majora o pozwolenie przeprowadzenia śledztwa.



Zgodę otrzymał i po kilku minutach złodziej przypomniał sobie dokładnie nazwisko i rysopis swego współnika, to zeznanie i nowe nazwisko nie budziło wątpliwości. Wskazany złodziej już zwęszył pisemno nosem i zdażył uciec. Poszedł do UB, przyjęli go, bo wiedział coś niecoś o partyzantach. Sąd polowy skazał złapanych na śmierć, wyrok wykonano natychmiast.

Zbliżyły się święta Bożego Narodzenia. Przed samymi świętami żandarmeria okręgowa zrobiła zasadzkę na szosie Warszawa-Białystok i zatrzymała dwa samochody ciężarowe należące do KBW w Białymstoku. Wiozły one trzydzieści sześć beczek śledzi i parę milionów sztuk papierosów. Nie zabrakło więc w Targoniach śledzi i papierosów w czasie świąt. Oddział "Burego" nadciągnął i zakwaterował we wsi Zajki. Urządzono tradycyjny "opłatek", w uroczystości uczestniczył cały sztab okręgowy, kilku jego członków wygłosiło patriotyczne przemówienie, do rana śpiewaliśmy partyzanckie pieśni.

W ostatnich dniach roku major "Kotwicz" zwrócił się do mnie z prośbą o urządzenie zabawy sylwestrowej. Przywiozłem orkiestrę i kilkanaście miłych dziewcząt. Bal się udał, do rana tańczyli i nieźle tym razem popijali nasi wodzowie. W sąsiednim domu była druga zabawa - dla żandarmerii okręgowej. Zaproszone dziewczęta zawracały mi stale głowę, żebym je zaprowadził na tę drugą zabawę. Mnie samego tam również ciągnęło, ale służba nie drużba - musiałem większość nocy spędzić wśród sztabowców i pić, ile weszło, bo co jakiś czas któryś z oficerów wołał mnie, stukał się ze mną kieliszkiem i wznosił toast za "zdrowie naszego Lutka".

Wśród szefów sztabu okręgowego byli prawie wszyscy komendanci powiatów. Teren wokół Targon był zabezpieczony, we wszystkich wsiach wystawiono warty dysponujące rakietami koloru czerwonego, ich wystrzelenie było umówionym znakiem o zbliżającym się niebezpieczeństwie. ~~Zagrożenia można było spodziewać się tylko od strony Zawad. Targonie leżą w widłach Narwi i Śliny, za Narwią stał na kwaterach oddział "Burego", za Śliną - duży oddział z powiatu "Zaporoże".~~ W styczniu 1946 roku oddział "Burego" znalazł się u szczytu potęgi, liczba partyzantów przekroczyła 800-set ludzi. Uzbrojenie mieli wspaniałe, 123 erkaemy, kilka rusznic przeciwpancernych, pancerfausty, granatniki, automaty, karabiny, granaty ręczne i przeciwczołgowe. Dysponowano też kilkoma cekaemami, ale rzadko były one potrzebne. Siłą ognia dorównywali burowej dywizji.

~~W sąsiednich Prusach Wschodnich powstał nowy Okręg TSW pod komendą "Lecha", brata "Grota". Władze sowieckie dowodziły zespołem naszych posterunków MO i UB. "Lech" miał trudne zadanie. Zwrócił się~~

brzegach Narwi między wsiami Strenkowo - Góra i Zajki, oczy i policzki miał wyjedzone przez dzikie lisy. Natknął się na niego sanitariusz Komendant Okręgu "Kotwicz" przechodząc ze swoją świtą. Pochowano go na cmentarzu w Gielczynie. Major "Kotwicz" kazał postawić na mogile brzozy krzyż z napisem: "tu spoczywa partyzant "Stalowy" Prawdziwego nazwiska nie znaleźliśmy.

[...] Cała Białostoczczyzna objęta została pacyfikacją sowiecką. Do Zawad zjechało 10 samochodów wojska i zakwaterowali się w miasteczku, w Tykocinie 15 samochodów, w Sokołach - 10. Drogi i szosy zaroiły się żołnierzami Armii Czerwonej. Po wszystkich wsiach kręciły się samochody rosyjskie w poszukiwaniu partyzantów. Zrobiło się ciasno, o mało nie wpadłem na samym początku, właściwie sam wlażłem im w oczy we wsi Konopki. "Rekin" zostawił mi ośmiu rannych partyzantów, których ulokowałem w moich punktach sanitarnych. W towarzystwie dowódcy żandarmerii okręgowej wiozłem saniami lekarstwa dla rannych. Pod kożuchami mieliśmy mundury i broń. Nie braliśmy ze sobą właściciela podwozy, żeby nie zdradzać miejsca kuracji chorych. Jechaliśmy śmiało z Targon przez Krytuły do wsi Konopki. Tu wyskoczyłem z sanek i wpadłem do pierwszej z brzegu chałupy w celu zasięgnięcia języka. Gospodarz poinformował mnie, że do tej pory był spokój. Uspokojony wsiałem na sanie i jedziemy dalej. Nieoczekiwanie w połowie wsi zobaczyliśmy czterech sowietów. Mieliśmy nogi okryte kocem i pod tym samym kocem schowane automaty. Ciemny odciągnął pod kocem zamek pepeszy, ale szepnąłem mu, żeby siedział spokojnie i zachował zimną krew, może nas nie zaczepią. Pogoniłem konie, minęliśmy Kacapów, dalej znowu trzech, ale i tych nijamy spokojnie, niezaczepiani. Spojrzałem w bok, na las odległy w tym miejscu o kilkadziesiąt metrów od zabudowań i zobaczyłem tyralierę rosyjskiego wojska. Wyjeżdżamy ze wsi, droga dalej prowadzi przez czyste pole, do lasu co najmniej kilometr. Pytam "Ciemnego", co robić, odpowiada, że tyle wie, co i ja, na razie udało się nam ująć z życiem, może i dalej szczęście dopisze. Wjechaliśmy w las nie zatrzymywani przez nikogo. Dotarliśmy do wsi Chrzczony, tu dzięki Bogu, spokój, Opowiedzieliśmy rannym o naszym spotkaniu z Rosjanami i śmieliśmy się na myśl, jakie dwie niezłe rybki wypuścili z zastawionej sieci.

Po tygodniu ucichło, Rosjanie nie mieli informatorów i odjechali z pustymi prawie rękami. Burowcy, poturbowani dosyć mocno, lecz nie śmiertelnie, koło Siemiatycz dali o sobie znać. Zatrzymali i rozbili pociąg pełen wojska rosyjskiego. W Hajnówce stoczyli bój zginął m.in. sowiecki pułkownik.

"Bury" dokonał odwetu na Białorusinach za 1939 r. <sup>ok</sup> Podczas kampanii wrześniowej wycofywał się ze swoim plutonem przez białorus-



kie wsie. Białorusini - cywile chcieli go rozbroić, wywiązała się walka, trzech żołnierzy zabili, a jego samego ranili. Teraz historia powtórzyła się - na terenie tych samych wsi zabili partyzanta z oddziału. Komendant "Kotwicz" na prośbę "Burego" dał mu wolną rękę. "Bury" jednej nocy - 29 stycznia 1946 r. - spalił następujące wsie białoruskie: Zalerzany, Wólka Wygnowska w gminie Kleszczele oraz 2 lutego 1946 r. wsie: Szpaki, Zanie i Malesze k. Brańska, a 3 lutego 1946 r. wieś Koncowizna pow. Białystok. Poza tym rozstrzelał około pięćdziesięciu mężczyzn. Wokół tej sprawy powstał wielki szum. Wśród sztabu zdania były podzielone, jedni chwaili "Burego", inni kręcili głowami i przypominali Niemców. Sowiecka pacyfikacja przeniosła się w okolice Hajnówki. "Bury" powrócił w nasze strony. Zmniejszył stan oddziału o połowę pozostawiając najlepszych. W Targoniach i na terenie mojej kompanii znowu zapanował spokój.

W lutym 1946 r. na podstawie zeznań członków NZW będących pod dowództwem "Jawa" wydano wyrok śmierci na byłego wójta z okresu okupacji niemieckiej, zamieszkałego we wsi Króle. Wyrok wykonała żandarmeria okręgowa pod dowództwem "Ciemnego". Następnego dnia wezwano mnie do sztabu i wręczono mi drugi wyrok, wydany na brata zabitego - Czesława Goska, z rozkazem natychmiastowego wykonania. Przyznam się, że nie nadawałem się do tej roboty, szkoda mi było każdego Polaka, z drugiej strony zachodziły pomyłki lub decydowały o czyjejś śmierci osobiste urazy. Rozkaz jednak musiałem wykonać, na szczęście spotkałem kolegę z żandarmerii okręgowej - "Wisła" i poprosiłem go o pomoc. On lepiej nadawał się do takiej roboty. Wziąłem jeszcze jednego z moich podwładnych, Henryka Zajkowskiego z Targon - Wit. Znaleźliśmy dobre sanie i konie i wyruszyliśmy we trzech bez furmana. Mieliśmy do przebycia 10 kilometrów. Zaplanowałem, że pójdziemy na pogrzeb brata skazańca, tam najłatwiej będzie zastać poszukiwanego. W mieszkaniu byłego wójta pełno było ludzi z całej wsi, rozpoznałem znajome twarze. Co się dzieje? na pogrzeby zdrajców nie schodzą się tak tłumnie porządni ludzie, w podobnych sytuacjach często nie ma komu trumny do dołu złożyć. Zacząłem szybko analizować fakty i byłem przekonany, że coś tu nie w porządku. Przyklęknąłem jak Judasz przy trumnie i udawałem, że się modłę, w rzeczywistości gorączkowo szukałem sposobu, w jaki nam się zachować. Koledzy zajęli podobną pozycję idąc w ślady swego komendanta, czułem, że klęczę już zbyt długo, wstaje więc ociągając się, wtem słyszę przeraźliwy i płaczliwy głos: "Lutek, jacy bogowie zesłali cię tu nam na pomoc?!", rzuca mi się na szyję olbrzymi mężczyzna. Jestem oszołomiony, przyglądam się jemu i po-

znaję Łukasza, dowódcę plutonu ze wsi Plewki, partyzanta - weterana. Całuje mnie ktoś inny, jeszcze nie mogę przypomnieć sobie, skąd go znam, Boże! to przecież brat zabitego, Czesław Gosk, ten sam, na którego wyrok mam w kieszeni. Rozpoznałem kobiecy głos, to Halina Kalinowska z Ożar, najpoważniej przeze mnie traktowana sympatia. ~~Ochleżałem jakiś z pierwszego wrażenia~~. Poprosiłem Łukasza, aby zrobił miejsce w jakimś pokoju, chcę z nim dyskretnie pomówić. Po paru minutach wiedziałem wszystko, co pozwoliło mi ustalić, że zginął niewinny człowiek i wiedziałem, kto był tego przyczyną. Zastanawiałem się, co robić dalej. Zajechać do sztabu i powiedzieć, że nie wykonałem rozkazu, to mogło równać się kuli w łeb. Nie miałem też prawa do analizy wyroku i anulowania go. Pamiętałem, jak na jednej z odpraw Komendant "Kotwica" powiedział, że przy ferowaniu wyroków trzeba mieć na względzie nasze położenie, bo jeśli wydamy 100 wyroków, z których tylko połowa będzie słuszna, nie możemy pozwolić sobie na wyrzuty sumienia, ponieważ pozostawieni przy życiu konfidenci, natraziliby naszą organizację na stokroć większe straty, niż tym pięćdziesięciu niewinnie zabitych. Stałem w bardzo przykrym punkcie, kiedy obowiązek przeczył sumieniu.

Nie mogłem zabić niewinnego, aby odsunąć od siebie kłopoty. Chciałem ocalić mu życie a jednocześnie zrobić coś, czym mógłbym ułagodzić gniew przełożonych. Wpadł mi do głowy szczęśliwy pomysł - jeszcze tej nocy rozbroić posterunek MO. W Rutkach-Kossakach został niedawno założony posterunek i Komendant "Kotwica" zastanawiał się, kiedy podjąć akcję przeciwko niemu. Kazałem Łukaszowi poderwać piętnastu ludzi z jego plutonu do obstawy. Po zapadnięciu zmroku wsiedliśmy na furmanki. Na szosie Warszawa-Białystok spotkaliśmy ciężarowy samochód wiozący kilkanaście skrzyń wódki i wina. Udało nam się zatrzymać go bez strzałów i zarekwirować towar, który odesłałem na umówiony punkt zborny. Dojechaliśmy do Rutek, zatrzymałem wozy na brzegu miasteczka. Ludzi z plutonu Łukasza pouczyłem, jak mają pełnić obstawę, do naszej trójki dokooptowałem skazańca, Czesława Goska, dostał automat i szedł ramie w ramie ze mną. Bez hałasu rozbiliśmy wartownika i wpadliśmy do wewnątrz. Załogę posterunku zastaliśmy przy kolacji. Krzyknąłem: "rece do góry!" a "Wis" puścił serię po suficie. Wszystkie rece posłusznie powędrowały w górę, zabraliśmy broń, amunicję, mundury, buty i koce. Załadowaliśmy trzy czubate wozy, Rozbrojonych zamknąłem w miejscowym areszcie i długo potem nosiłem jeszcze klucz przy sobie. Ludzi z siatki wyprawiłem do domów. Wiozłem ze sobą Łukasza i Goska, po drodze cały czas myślałem, co mnie czeka w Targoniach. Nie



wykonałem rozkazu, ale też miałem czym się pochwalić. Właściwie we trzech rozbroiłem piętnastu milicjantów.

W Targoniach zatrzymałem tabor i sam udałem się do kwatery Komendanta. Zatrzymała mnie warta żandarmerii i od niej dowiedziałem się, że major jeszcze nie śpi, niedawno dopiero wrócił. W pokoju zastałem "Kotwicza", "Dunajewskiego" i "Dunina". Stałem na baczność i zameldowałem wprost, że rozkazu nie wykonałem, skazanego przywiozłem żywego, poza tym na własną rękę rozbroiłem posterunek i zatrzymałem samochód, z którego zarekwirowałem tyle i tyle butelek wódki i wina. "Kotwicz" początkowo spochmurniał, ale pod koniec meldunku o mało nie wybuchnął śmiechem. "Dunajewski" śmiał się głośno, "Dunin" niby był poważny, ale od paru chwil robił do mnie oko. Stoję wciąż na baczność, w końcu któryś mówił: "siadajcie, kolego", więc siadam. Pytają mnie wszyscy, gdzie mam zdobycz, odpowiadam zgodnie z prawdą, że zostawiłem wozy na brzegu wsi. "Dunajewski" przygląda mi się i pyta rozbawionym tonem czy nie jestem pijany, służbowo odpowiadam, że nie, nie próbowałem zdobyczej wódki, natomiast jestem głodny i zmęczony. Major "Kotwicz" wezwał "Pilnika" (właściciela domu, w którym kwatrowałem) i kazał szybko przygotować mi posiłek i posłanie. Żandarmerii wydał rozkaz zabezpieczenia zawartości wozów. Musiałem dokładnie relacjonować zdanie po zdaniu przyczyny niewykonania rozkazu, major kręcił głową, znał doskonale Łukasza i wiedział, że jemu można zaufać. Nazajutrz wezwał "Jawa" i tych spośród jego ludzi, którzy podpisywali protokoły do wydanych wyroków śmierci. Konopkę Jana psł. "Górny", głównego sprawcę wyroków wiozłem już do sztabu, ale uciekł mi po drodze, zameldowałem o tym Komendantowi. "Jaw" przybył także bez "Górnego", ale bronił go całym swoim autorytetem, którego posiadał niemało i na razie go obronił. Skończyło się na tym, że Czesław Gosk został zrehabilitowany (~~żyje do dnia dzisiejszego~~). "Górny" uniknął kary dzięki "Jawowi"; ale wolał nie spotykać się ze mną.

Otrzymałem nowe zadanie od szefa wywiadu "Tyтана". W Tykocinie założono gminę i spółdzielnię spożywcza. Wójt z radą pojechali do Białegostoku po towar dla spółdzielni oraz po pieniądze na różne wypłaty urzędowe. "Tytan" dał mi listę osób, które należy wychłostać. Wśród zatrzymanych będzie dwóch naszych ludzi, których też należy "dla oka" przetrzepać, ale tak, aby ich nie bolało. Poza tym miałem zarekwirować wszystko, co będą wieźli. Wziąłem "Wisa" i pięciu ludzi z mojej kompanii. Zrobiłem zasadzkę na kolonii Stelmachowo, w gospodarstwie Backielów mieszkających przy samej

szosie. Przed wieczorem doczekaliśmy się na tabor, zatrzymaliśmy go i skierowaliśmy do pobliskiego lasu. Wyjałem listę, pierwszego wójta poprosiłem, aby zachylił kożuch i położył się na pniu drzewa. W rozkazie miał przeznaczone 30 kijów, sam miał liczyć. Naliczył do 26-ciu, po czym narobił w spodnie, następny dostał 20, pozostali po 15, nasi byli bici po kożuchach, ale krzyczeli najgłośniej. Zabraliśmy kasę zawierającą 105 tysięcy złotych, poza tym 500 kg. cukru, 21 kg soli, 50 kg mydła i inne artykuły w mniejszym ilościach. Zatrzymanych zwolniłem po wymierzeniu sprawiedliwości, poszli pieszo do Tykocina, ich wozy i konie zatrzymałem do odwiezienia zarekwirowanych towarów. Przywiozłem wszystko do Opuchowa, gdzie byłem umówiony z por. "Tytanem". Moi ludzie z kompanii dostali od "Tyтана" po 10 kg cukru i odeszli do domów. "Tytan" wziął pieniądze, mnie i "Wisowi" odliczył po 5 tys. złotych.

Po paru dniach otrzymałem wezwanie do sztabu okręgu. Na skraju Targon niecierpliwie oczekiwał mnie "Wis". Poinformował mnie, że sztab wie o pieniądzach zarekwirowanych podczas ostatniej akcji, a por. "Tytan" nie zdał ich. I w ten sposób zostałem współdziaławcem kradzieży, można stracić całe ciężko zarobione zaufanie jednym nieprzemyślanym pociągnięciem. "Wisowi" i mnie w zasadzie nic nie grozi. Porucznik może to zapłacić życiem.

Zameldowałem swoje przybycie majorowi, ten przywitał mnie wymyślaniem: jak mogłem ukrywać złodzieja, dlaczego od razu nie zameldowałem itd. itp. Spocikłem się. Przyszedł "Dunajewski", też nie szczędził mi wymysłów, mówił nawet o degradacji. W końcu zdenerwowałem się i poprosiłem o głos, uspokoili się i pozwolili mi mówić. Na wstępie zaznaczyłem, że nie poczuwam się do żadnej winy, zrobiłem to, co do mnie należało, pieniądze oddałem wszystkie tam, gdzie należało je przekazać. Nie jestem upoważniony do dokonywania kontroli w kasie naszego powiatu ani do kontrolowania moich przełożonych, zwłaszcza szefa wywiadu. Przed paroma dniami przywiozłem dwa wozy trunków do Komendy Okręgu, nikomu na ten temat nie mówiłem nic i nie sprawdzałem, co z tym Panowie zrobili. To co mnie w tej chwili spotkało, uważam za obrazę munduru, który mam zaszczyt nosić. Przykro mi odbierać taką zapłatę za tyle lat nienagannej służby w szeregach NOW, AK i NZW, nie pozostaje mi nic innego, jak podać się do dymisji, proszę mnie zwolnić z obowiązków dowódcy kompanii.

W sąsiednim pokoju siedział pułkownik "Iskra" i słyszał całą moją przemowę. Gdy skończyłem, wszedł i powiedział: "Czołem, kolego "Wybicki", podał mi rękę i zaczął rozmowę przyjacielskim tonem,



tłumaczył, co by to było, gdyby każdy zaczął działać na własną rękę i brał dla siebie to, co zdobył w imieniu organizacji. Odpowiedziałem, że dobrze rozumiem jego słowa i zdaję sobie z tego doskonale sprawę.

"Dunajewski" zniżył ton i chytrze zaczął dopytywać się, czy "Tytan" zobowiązał mnie do tajemnicy. Zaprzeczyłem kategorycznie, Major "Kotwicz" z uśmiechem zaopiniował, że kolega "Wybicki" jest zrehabilitowany i może wracać do swoich zajęć. Podał mi rękę, podziękował za przybycie i zeznanie, muszę jeszcze tylko podpisać protokół. Zdawałem sobie w pełni sprawę z tego, że ten protokół będzie wyrokiem śmierci na "Tyтана". "Dunin" szybko na maszynie napisał tekst, który podpisałem drżącą ręką. Pragnąłem, żeby szybko mnie zwolnili, może zdam ostrzec porucznika, aby nie podzielił losu "Kmicica". Zastanawiało mnie jedynie dlaczego "Dunin" zachowuje się tak spokojnie i obojętnie, gdy ferują wyrok śmierci na jego serdecznego kolegę, towarzysza wieloletnich walk i tyłu wspólnych przeżyć?

Nie zdążyłem jeszcze wyjść, gdy "Ciemny" zameldował, że oskarżony został przywieziony. Kazano wprowadzić "Tyтана" i za chwilę ujrzałem go bladego jak trup, z rękami założonymi na głowę, trzymanego pod wycelowaną bronią. Tłumaczył się mądrze, aresztowano jego brata i za uwolnienie UB zażądało 100 tys. złotych. Zwracał się do sztabu z prośbą o tę sumę, ale spotkał się z odmową, nie miał innego wyjścia. Nosił się z zamiarem zameldowania komendzie powiatu o tym fakcie z chwilą, gdy będzie mógł zwrócić całą sumę.

Sztab poszedł na naradę, po paru minutach wrócił. Odczytano "Tytanowi" sentencję wyroku. Został skazany na karę śmierci, ale ze względu na długoletnią nienaganną służbę w szeregach naszej organizacji, wykonanie wyroku zawieszają na dwa lata.

Słabe rumieńce wróciły na twarz "Tyтана", ja odetchnąłem z ulgą. Niegdyś energiczny, waleczny i pełen entuzjazmu partyzant załamał się całkowicie po tym incydencie. Jeszcze jakiś czas ukrywał się na naszym terenie przed UB, później wyjechał gdzieś na Zachód i tam żyje do dziś. Ofiara opłacała się jednak bratu "Tyтана", został zwolniony z UB dzięki łapówce.

Na początku marca 1946 nasz wywiad doniósł, że szykuje się wielka pacyfikacja. Targonie jako kwatera sztabu były zdekonspirowane i należało w każdej chwili spodziewać się napadu UB. Ostrzeżony sztab rozsypał się w terenie. "Kotwicz" przeniósł swoją kwaterę do wsi Łaś Toczyłowo. "Dunajewski" ulokował się na kolonii pod wsi Kapusty. "Grot" w dalszym ciągu przebywał w pobliżu Kobyłina, puł-

kownik często zmieniał siedzibę. "Dunajewski" szukał mego towarzys-  
twa i chciał, abym nie opuszczał go ani na chwilę.

W oddziale "Burego" chodził "dezenter" z wojska - porucznik  
Wincenty Górski rodem ze wsi Targonie) - [Wity. Na ochotnika zgłosił  
się do ludowego wojska i szybko dorobił się stopnia oficierskiego,  
po czym zdezerterował całkiem nieoczekiwanie. Po częściowej demo-  
bilizacji oddziału "Burego" kręcił się koło mnie, prosił o jakąś  
funkcję na siatce, ale jakoś nie mogłem nabrać przekonania do tego  
osobnika, mimo że znałem go od dawna, razem chodziliśmy do szkoły  
podstawowej. Pewnego dnia, gdy przyjechałem z "Ciemnym" do majora  
"Kotwicza", zobaczyłem tego gościa i spytałem dyskretnie majora,  
co Górski tu robi. "Kotwicz" wziął go na łącznika i był z niego za-  
dowolony. Zaniepokoiło mnie to, ale ograniczyłem się do ostrzeże-  
nia komendanta, aby uważał na tego człowieka.

Okolica znów zaroiła się żołnierzami Armii Czerwonej, tym ra-  
zem mieszały się samochody sowieckie z KBW i UB. Przeważnie na 10  
samochodów osiem było rosyjskich a dwa polskie. Wrogowie dyspono-  
wali już lepszym wywiadem, mieli prowokatorów wśród naszych byłych  
partyzantów.

Z oddziału "Burego" uciekło dwóch partyzantów, po prostu nie  
mogli wytrzymać rygoru i ciągłych walk, wyczerpani do ostateczności  
po tylu latach ciągłej tułaczki i poniewierki. Po ucieczce  
chcieli pobyc jakiś czas na siatce i odpocząć, w tym celu zgł<sup>o</sup>sil<sup>i</sup>  
się do swojej macierzystej kompanii, do "Ognia" i "Gryfa", Ci, gdy  
dowiedzieli się, że mają do czynienia z dezenterami, aresztowali  
ich i dostarczyli do sztabu. Jeden z nich, Kazimierz Kopczewski  
(pa) "Warszawiak", dawny podwładny "Blaska", zorientował się, co mu  
grozi i uciekł w drodze do sztabu. Drugiego - "Tęczę" dostarczono  
na miejsce, na oczekaniu sztab wydał wyrok śmierci i rozstrzela-  
no bez zwłoki dobrego niegdyś partyzanta. "Warszawiak" dowiedział  
się o tym, ukrywał się z bratem zabitych Kalinowskich, "Blaska" i  
"Wydry". Gdyby szukał kontaktu ze mną, próbowałbym go bronić, bo  
znałem go dobrze i wiedziałem, że jest wartościowym człowiekiem,  
Kiedyś nadmieniłem "Kotwiczowi", że bardzo żałuję "Warszawiaka",  
odpowiedział mi, że mogę go szukać i wziąć pod swoją opiekę pod  
warunkiem, że będę za niego całkowicie odpowiedzialny. Ale było  
za późno. "Warszawiak" i Kalinowski zrozpaczeni beznadziejną sy-  
tuacją zgłosili się do UB i tam znaleźli schronienie. Kwatera w  
Targonjach została zdekonspiarowana przez "Warszawiaka". Jeździł  
razem z ubowcami, znał dobrze trasy i kwatery partyzanckie. Pewne-  
go razu przyjechał w asyście ubowców do mego domu, po mnie i brata



ale nas nie zastał. Kiedy został sam z moją matką, złapał ją za rękę, pocałował, mówił: "mamuśka", tłumaczył się, że nie miał wyjścia i prosił, aby mnie pozdrowiła. Później dawał mi także ostrzeżenie przez Chibowskiego. [...]

W Tykocinie ogólnie panował spokój. "Gryf" i "Ogień" pilnowali porządku. Pojedynczo czy nawet po kilku funkcjonariusze UB i MO bali się pokazywać, o ile gdzieś jechali, to dużą gromadą, wtedy każdy ich widział i organizacja wiedziała o każdym ich kroku. Pewnej nocy z Białegostoku do Tykocina zjechało kilka samochodów pełnych milicji i ubowców. Wczesnym rankiem kilku partyzantów wracało zza Narwi i, nie mając żadnego rozeznania w sytuacji, postanowili zjechać do Tykocina. Byli to chłopcy z grupy "Gryfa" i "Ognia": młody, energiczny partyzant rodem z Choroszczy ps. "Lis", drugi ze wsi Dzikie - syn młynarza ps. "Zajac", dwóch z żandarmerii okręgowej "Czuma" (wykonawca wyroku na "Kmicicu") i "Tur" (Lucjan Turowski z Warszawy - łącznik Komendy Głównej NZW z Komendą Okręgu "Chrobry"). Kiedy znaleźli się na terenie Tykocina, zostali niespodziewanie otoczeni przez ubowców, wywiązała się walka. Nasi zdążyli zająć stanowiska bojowe za jednym z domów, "Czuma" schronił się za murem okalającym kościół. Miał karabin rosyjski dziesięciostrzałowy, tzw. "samozaradkę" i bronił się najdłużej. W końcu otrzymał postrzał i dobił się sam kulą z rewolweru. Pozostali trzej ranni pozwolili wziąć się żywcem i zostali natychmiast odtransportowani do Białegostoku. Wywiad doniósł, że chłopcy zachowali się dzielnie podczas śledztwa, nie załamały ich tortury, płamane zębra, zerwane paznokcie i poodbity pięty. Sąd doraźny skazał ich na karę śmierci. "Lis" i "Zajac" idąc na egzekucję zachowali się godnie. Natomiast "Tur" załamał się, powiedział katom, że za chwilę stracą człowieka znającego największe tajemnice NZW. Natychmiast wstrzymano egzekucję "Tura" i wzięto go na ponowne śledztwo, podczas którego ujawnił, iż jest łącznikiem Komendy Okręgu z Komendą Główną NZW. Po paru dniach trzech członków Komendy Głównej zostało aresztowanych w Łodzi. "Tur" znał łącznika w Warszawie, szewca z zawodu, do którego dostarczał meldunki z Okręgu Białostockiego i zabierał rozkazy oraz instrukcje nadesłane z Komendy Głównej z Łodzi. "Tur" sygnalizował łącznika, ten z kolei wydał siedzibę Komendy w Łodzi.

31 sierpnia 1945 r. został aresztowany "Mścisław" - Władysław Liniarski. Jego zastępca został mianowany "Oset" - Sędzia. W międzyczasie został aresztowany Komendant Obszaru "Miecz" (Ostrowski). Po latach doszły do mnie wiadomości, Lucjan Turowski ps. "Tur" kosztem wysoko postawionych osobistości ocalił własne życie. Według

insekty. "Marek" zbierał nas po kilku, lokował na możliwie bezpiecznej kwaterze i smarował spreparowaną przez siebie maścią. Kuracja trwała trzy dni, potem konieczna była kąpiel, pranie bielizny i ubrania, ale jeszcze przez jakiś czas przesiąknięci byliśmy zapachem siarki - jednego ze składników maści. "Marek" znalazł także dość skuteczny środek na wszy - bezbarwny płyn dostarczany nam bezpośrednio z apteki jego ojca. Kilkakrotnie udało nam się z "Markiem" wpaść do Tykocina i odwiedzić jego dom rodzinny. Rodziców miał przemiłych. Ojciec częstował nas prawdziwym monopolowym spirytusem, matka przygotowywała zakąskę, siostra, z zawodu dziennikarka, umilała te wizyty. "Marek" był żonaty. Poznałem jego żonę, p. Alicję, miłą i sympatyczną niewiastę, często później przyjeżdżała do męża i spotykała nas w lesie, pozostawała nawet na kilka dni. Przywoziła leki dla rannych, jeździła po niektóre środki do Białegostoku, jeśli nie dysponowała nimi apteka w Tykocinie. Bogdanowicz wyleczył kilku bardzo ciężko rannych chłopców, nie rokujących większych nadziei. Pamiętam jednego z partyzantów z oddziału PAS "Burego", miał czterokrotnie przestrzelone płuca i złamaną rękę, zdawało się, że umrze z upływu krwi. "Marek" poradził sobie i z tym przypadkiem, a trzeba zaznaczyć, że leczenie w prymitywnych naszych warunkach, przy braku chociażby penicyliny, było nie lada sztuką. Częste były przypadki zapalenia płuc, zdarzał się też tryper. "Ciemny" nabył się tej choroby dwukrotnie w jednym miejscu i w ten sposób udało się zlokalizować źródło. "Marek" dotarł do dziewczyny i ją wyleczył także.

*Jeny Bogdanowicz*  
Po pewnym czasie odetchnęliśmy z ulgą. "Marek" sprowadził skuteczny środek na wszy - największą niedolę naszego leśnego życia. Ja osobiście miałem rany na ciele porobione przez te przekłete insekty. Nosilem spodnie obcisłe od kostek do kolan, nie zdejmowałem ich ze względu na konieczność stałej gotowości do obrony lub ucieczki, wobec czego w szwach tych spodni utworzyły się istne wylegarnie. Niegojące się, stale odnawiane rany pozostawiły ślady aż do dziś. "Marek" zdobył proszek DDT, który wtedy pojawił się w przesyłkach amerykańskiej UNRA. Tak pozbyliśmy się tej jakże przykrej plagi, dostarczającej nam w minionych latach wielu cierpień, a czasem i komicznych zajść. Kiedyś, przebywając razem z pułkownikiem "Błękitem", zaprowadziłem wodza do jednej z moich sympatii, Eugenii Zambrzyckiej we wsi Grabowo. Miła dziewczyna chciała nas serdecznie ugościć i oddała nam wspaniałe własne łóżko nakryte czystą, białą pościelą, sama zadeklarowała się trzymać przy nas wartę. Spaliśmy jak w domu, za dawnych dobrych czasów. Kiedy otwo-



rzyłem rano oczy, przeraziłem się widokiem pościeli upstrzonej wędrującymi we wszystkich kierunkach naszymi lokatorami. Obudziłem pułkownika i powiedziałem, że ubowcy nas napadli, mamy ich pełne łóżko. Pułkownik uważał, że to gorsze od UB. Długo pracowaliśmy, zanim wykapaliśmy wszystkie do pudełka po zapałkach, pudełko było prawie pełne. Przy śniadaniu pułkownik dyskretnie wrzucił je w ogień, po chwili nastąpiła kanonada. Dziewczyna i jej matka nie zorientowały się, co zostało wrzucone w płomienie, dopiero później po latach, gdy ją spotkam i będziemy wspominać trudne czasy, przyznam się, co to było.

Na miejsce Komendanta Okręgu "Kotwicza" został powołany pułkownik "Iskra", który zmienił teraz pseudonim na "Błękit". Nowy Komendant zwołał odprawę dla wszystkich szefów Okręgu i komendantów powiatów. Na miejsce tych, którzy odeszli, mianował nowych. Wołał "Koledzy, honor Polaka to zginąć lub zwyciężyć, Bóg<sup>g</sup>o nam dał i tylko Bogu możemy go oddać". "Bury" zabrał głos i powiedział, że z takimi partyzantami, jakich ma w swoim oddziale Polska nie zginie a historia nigdy nie zapomni naszych czynów.

Po odprawie ruszyliśmy wszyscy do swoich zajęć. Szefem PAS w naszym powiecie został mianowany przedwojenny starszy sierżant zawodowy Wieczorkiewicz ps. "Ordon". Był świetnym instruktorem, lecz słabym dowódcą oddziału partyzanckiego. Był zbyt ostrożny, trudno go było utrzymać dłużej przy oddziale, stale gdzieś wyjeżdżał, żeby nie pozostawać w większej grupie. "Gryf" i "Ogień" zorganizowali ładny oddział na terenie swojej kompanii. "Gryf" dokonał kilku udanych akcji na szosie Warszawa-Białystok. Nowoz założony posterunek MO w Tykocinie urzędował tylko parę dni, "Gryf" rozbroił i wygonił cały urząd gminy.

Wczesną wiosną 1946 r. znów rozpoczęły się pacyfikacje. Tym razem złapali dowódcę czwartej kompanii - "Siwka" ze wsi Wnory - Stare. Przetrzęsnęli całą okolicę w poszukiwaniu nas, a przede wszystkim sztabu okręgowego, wiedzieli już, że miejsce "Kotwicza" zajął "Błękit". Wszystkie oddziały i oddziałyki partyzanckie na wieść o pacyfikacji chowały się w dobrze zakonspirowanych kwaterych, dzielone były na małe grupki po kilku chłopców. Przy takiej taktyce nie mieli co robić nasi wrogowie, którzy jeździli całymi batalionami. Znany przedwojenny generał Paszkiewicz zaprzedał się nowej władzy i podjął się likwidacji białostockiej partyzantki. Sprowadził całą swoją dywizję, przemaszerował z nią większe i mniejsze lasy i wrócił do Białegostoku z pustymi rękami. Tylko zdążył odejść, już partyzanci dokonali kilku akcji.

T. 7) Wiosną 1946 znów rozpoczęły się pacyfikacje.)

~~W czasie trwania pacyfikacji~~ Zandarmeria okręgowa została podzielona na parosobowe grupki i zamelinowana. Do mnie dołączył "Ciemny". My dwaj w towarzystwie "Marka" skontaktowaliśmy się wieczorem z płk. "Błękitem" - siedział przebrany za chłopca w dobrze zakonspirowanej melinie. Przyjął nas serdecznie, kazał wydać kilka set sztuk papierosów, całą wędzoną szynkę i dał każdemu z nas po kilka tysięcy złotych. Rozkazał nam ukryć się na czas pacyfikacji. Odjechaliśmy w kierunku wsi Plewki, tu na razie był spokój. Zakwaterowaliśmy na kolonii w lesie obok rzadko uczęszczanej przez pojazdy mechaniczne drogi. Gospodarz przyniósł nam słomę do mieszkania, dostaliśmy koce i poduszki, zanosilo się na rzetelny wypoczynek. Buty miałem mocno przemoczone, zdjąłem je więc i postawiłem koło pieca, aby wyschły w ciągu nocy, mundurów i spodni nie zdejmowaliśmy. Spaliśmy twardym snem. Gospodarz, członek naszej organizacji, czuwał przez całą noc. Około siódmej rano obudził nas alarm, że jadą samochody, Zerwaliśmy się jak oparzeni, złapaliśmy broń i wzięłem się do wciągania butów, Moi koledzy mieli saperki i szybko je obuli, moje oficerki zeszkły się tak, że dużo czasu i trudu kosztowało mnie, zanim wbiłem je na nogi. Gdy kończyłem wciskanie drugiego buta, pod oknami był już ciężarowy samochód pełen rosyjskiego wojska. "Ciemny" chciał uciekać w las, zdążyłem przytrzymać go za połę kożucha, w tym momencie wyskoczenie z domu groziło nieuniknioną śmiercią. Odległość między domem a lasem wynosiła około stu metrów, niemożliwe było przebiec ten odcinek bez zauważenia przez wroga. Kazałem szarpiącemu się i wyrrywającemu "Ciemnemu" uklęknąć przy oknie tak, aby pozostał niezauważony i trzymać broń w pogotowiu. Ja szykowałem granaty i świecę dymną. Gdyby ruscy zatrzymali się przed domem, chłopcy mieli pruć w nich długimi seriami. Ja planowałem rzucić dwa granaty i dopiero wtedy uciekać (świecę miałem rzucić w połowie drogi do lasu). Pierwszy samochód przejechał powoli, za nim następne, naliczyłem dziewięć i dziesiąty z kuchnią polową. Zrozumiałem, że to już ostatni i faktycznie tak było. Kolumna minęła naszą kolonię i zatrzymała się w odległości 300-400 metrów. Rosjanie rozwinęli się w tyralierę i poszli w kierunku wsi. Nasza trójka wymknęła się z mieszkania i niepostrzeżenie dotarła do lasu. Lasem dotarliśmy do sąsiedniej wsi, tam znaleźliśmy furmankę i szczęśliwie dojechaliśmy w bezpieczne miejsce. ~~Pocieszaliśmy się, że dzięki zachowaniu zimnej krwi można wybrnąć z najgorszej sytuacji.~~

Pacyfikacja po tygodniu przeniosła się na inny powiat, mieliśmy znów trochę spokoju. Sztab Okręgu nie ruszał się z naszego powiatu



wszyscy szefowie z wyjątkiem "Burego" ciągle przebywali w powieci "Mazur". Znajdowałem się teraz stale obok płk. "Błękit". Obracał się wciąż wśród ludzi, którzy żalowali "Kmicica". Tak kierowałem naszymi krokami, że na każdej kwaterze gospodarze w sanych superlatywach wyrażali się o nim. Odważniejsi pytali nawet Pułkownika, kto ośmielił się zamordować tego dzielnego partyzanta. Kiedyś przejeżdżaliśmy przez Plebanki, zaproponowałem "Błękitowi" odwiedzenie matki i sióstr "Kmicica" - wyraził zgodę. Na rodzinie mego nieżyjącego kolegi przyjazd Pułkownika zrobił wielkie wrażenie i wywołał prawdziwą radość. Po śmierci "Kmicica" żyli w strasznym upokorzeniu i ciągłej niepewności. Od czasu do czasu wpadałem do nich, pocieszałem, jak umiałem i obiecywałem, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ciało Ignacego zostało wydane rodzinie. Ale ja sam nie wiedziałem do tej pory, gdzie ono spoczywa. "Błękit" oglądał portret "Kmicica" świetnie prezentującego się w partyzanckim mundurze i inne zdjęcia sprzed wojny i z lasu. Na pożegnanie dał matce Ignaca kilka tysięcy złotych w formie zapomogi. To był dobry znak, więc przypuściłem atak, żeby kuć żelazo, póki gorące. Prosiłem Pułkownika w imieniu własnym, aby pozwolił przenieść ciało "Kmicica" na cmentarz. Wyraził zgodę i dał rozkaz "Jawowi", żeby porozumiał się z rodziną i wspólnie z nią dokonał ekshumacji. W ten sposób prochy mego pierwszego dowódcy spoczęły na cmentarzu w Zawadach w grobie rodzinnym, a z mojej piersi spadł wielki kamień.

Po paru tygodniach mojego pobytu przy płk. "Błękitcie" byliśmy we wsi Chrzczony, kiedy przyjechał "Dunajewski" i w sąsiednim pokoju rozpoczął jakąś ważną rozmowę z Pułkownikiem. Nie interesowałem się tym początkowo, ale po paru chwilach usłyszałem, że rozmowa przerodziła się w wyraźną kłótnię, dobiegały mnie poszczególne słowa i zorientowałem się, że spierają się o mnie. "Dunajewski" zwrócił "Błękitowi" uwagę, że ten zabiera wartościowych ludzi i trzyma ich przy sobie. Pułkownik poczuł się urażony, postawił Kapita na baczność i krzyczał, że ten zapomina, z kim rozmawia itp. Ostra wymiana zdań nasiliła się, zaniepokojony otworzyłem drzwi bez pukania i zapytałem, co się stało. Moje wtargnięcie uspokoiło obu. Pułkownik zwrócił się do mnie per "Kolego" i zakomunikował mi, że jeszcze dziś mam pojechać do Komendanta powiatu, "Sterny" i przekazać mu moją kompanię. Jutro obejmę dowództwo nad oddziałem powiatowym PAJ, którym do tej pory dowodził "Ordon". Przekazanie oddziału ma odbyć się w obecności płk. "Błękit".

Takiego wyróżnienia nie spodziewałem się. Szybko pożegnałem moich wodzów i pojechałem do "Sterny". Przekazałem kompanię memu dotychczasowemu szefowi, Władysławowi Sikowskiemu. Rozmawiał ze mną po przyjacielsku (znaliśmy się bardzo dobrze i w prywatnej rozmowie mówiliśmy sobie per "ty"). Dowiedziałem się, że moja nominacja była zatwierdzona już kilka tygodni wcześniej, na przeszkodzie stał tylko Pułkownik, który kurczowo trzymał mnie przy sobie.

Następnego dnia przed nastaniem wieczoru przyjechałem na kwatery mego przyszłego oddziału. Zostałem Pułkownika, "Dunajewskiego", "Sternę" i "Orдона", który zrobił zbiórkę oddziału w dwusze-regu i zameldował Pułkownikowi, że oddział gotowy. "Błękit" przemówił do partyzantów, w kilku zdaniach przedstawił mnie jako starego stażem, zahartowanego w bojach i doświadczonego partyzanta. Potem zwrócił się do mnie i rozkazał przejąć oddział. Podałem komendę: "Baczność!", "Kolejno odlicz", następnie: "W prawo patrz!". Stałem na baczność trzy kroki przed Pułkownikiem, zasalutowałem i zameldowałem: "Panie Pułkowniku, "Wybicki" melduje posłusznie przejęcie pod moje dowództwo oddziału partyzanckiego PAS KP "Mazur", stan jeden 56". "Błękit" podał mi rękę, pocałował mnie w czoło, następnie kazał dać "spocznij". Przekazanie mi oddziału wśród tak wysoko postawionych osobistości świadczyło o moim autorytecie, tym samym zobowiązywało nowych podwładnych do lojalności i dyscypliny. Oddział podzieliłem na trzy drużyny. Dowódcą pierwszej mianowałem kaprała Stanisława Grabowskiego ps. "Wiarus" ze wsi Grabowo - Nowe, doświadczonego partyzanta, walczącego poprzednio w oddziale "Burego". Dowództwo drugiej drużyny objął sierżant z obecnego wojska, Henryk Weremczuk ps. "Kulik", wilnianin. Za trzecią drużyną odpowiedzialnym uczyniłem również sierżanta z obecnego wojska, Witolda Markiewicza ps. "Atom" - pochodził z okolic Grodna, syn przedwojennego majora wojska polskiego. ~~Przed samą wojną zdążył zrobić maturę.~~ Jednocześnie mianowałem go swoim zastępcą. "Kulik" i "Atom" byli dezertierami z armii Berlinga, uciekając przy prowadzili całą drużynę do lasu, był z nimi też plutonowy "Ziuk", bardzo wartościowy partyzant.

Znalazł się w moim oddziale partyzant rodem z Kowna. Zdezertował z Armii Czerwonej, nauczył się języka polskiego, obrał sobie pseudo "Witold". Często zastanawiał się, kto poróżnił złączone niegdyś nasze narody i czego jego rodacy chcieli od Polaków. Przyniósł, że do śmierci będzie walczył o unię polsko-litewską. Był bardzo odważny i zdyscyplinowany. Nosił sowiecki erkaem, normalnie erkaemista nosił trzy talerze amunicji, "Witold" miał zawsze przy sobie sześć. Gdy obejmował wartę uspokajał mnie, że mogę



spać, on nie będzie podnosił alarmu, jeśli zbliży się grupa wrogów nie liczniejsza, niż dwudziestu, on sam sobie z nimi poradzi. [...]

W oddziale miałem dwóch partyzantów z mojej rodzinnej wsi: Tymonbta Zalewskiego ps. "Gołąb" i Stanisława Gąsowskiego ps. "Wicher" (brat "Dunina"). Z Szymbor pochodzili: "Miedziak" (brat zabitego Komendanta powiatu "Łosia") i Jan Szymborski ps. "Waligóra", ze wsi Brzózki-Mystki: Jan Trojanowski ps. "Kozłak" i kapral ps. "Tygrys", z Rutek-Kossak technik weterynarii Kazimierz Kulesza ps. "Jawor", z Zalesia "Cygan" i "Czuma", z Sikor "Żbik", z Pogorzalek "Gołąbek" - Kazimierz Pogorzelski (nie mylić z "Jastrzębiem" o tym samym imieniu, nazwisku i pochodzeniu, który chodził w żandarmerii okręgowej). Ze wsi Łazy koło Łap pochodziło dwóch: "Dziki" i "Rys" z Poświętnego "Zgrzyt" i "Zośka", ze wsi Uszyńskie "Jarząbek", poza tym miałem dzielnych chłopców: "Błyskawicę", "Ponurego", "Zrywa" i kilkunastu innych, których nazwiska i pseudonimy zatarły mi się w pamięci. Jak już nadmieniałem, dokładne dane o każdym z partyzantów w warunkach konspiracji nie były wskazane i nawet Komendant oddziału nie powinien ich znać, niemniej dzięki stałemu przebywaniu z moimi podwładnymi, większość z nich poznałem bliżej, a także ich rodziny. Zdawałem sobie doskonale sprawę, jaka na mnie, komendancie oddziału spoczywa, odpowiedzialność za tych młodych ludzi. Ich matki, podobnie, jak moja matka mnie, pragnęły zachować ich żywych, a wystarczyło jedno nieprzemyślane do końca posunięcie jedne źle zorganizowana akcja, aby życie młodych patriotów zawisło na włosku. Ich los trzymałem w rękach, zależny był od moich rozkazów i poleceń, od moich umiejętności i sprytu.

Jedno z pierwszych zadań zakończyło się niepowodzeniem. Na rozkaz "Grota" wysłałem "Waligórę", "Zośkę" i "Zgrzyta" po archiwum naszej prasy, które trzeba było przewieźć parę kilometrów do kwatery "Grota". Nie chciałem robić szumu, obawiając się dekonspiracji kwatery i nie poszedłem z całym oddziałem. Ubowcy napadli zniemacka dużą grupą, "Zośkę" i "Zgrzyta" obezwładnili, sprytniejszy "Waligóra" zdążył zranić dwóch napastników i sam jakimś cudem uciekł. Przyoległ do oddziału w godzinę po katastrofie. Natychmiast puściłem się w pogoń z oddziałem. Miałem nadzieję, że uda mi się dogonić grupę ubowców, według relacji "Waligóry" dorównującą siłą mojemu oddziałowi i odbić pojmanyh partyzantów. Niestety, upojeni łatwym zwycięstwem i zdobyczą wrogowie wsiedli do samochodów i pojechali do Wysokiego Mazowieckiego.

Zbliżały się Zielone Świątki, w okolicach Kąpcie panował względ-

ny spokój. UB zaniechało wizyt. PrzyproWadziłem oddział na kolonię wsi Zawady i pierwszego dnia Zielonych Świąt przekazałem dowództwo "Atomowi" i przebrany w cywilną marynarkę, z rewolwerem, dwoma granatami i 50 szt. amunicji poszedłem do domu. Zostałem mojego brata "Bajana" (był ostatnio w żandarmerii okręgowej pod dowództwem "Ciemnego"). Byłem zadowolony z nowej sytuacji, w jakiej znalazł się mój brat, bo znałem "Ciemnego" i uważałem, że nie pozwoli, aby bratu stała się jakaś krzywda. Piotrek był także w cywilu, miał przy sobie rewolwer TT i granat obronny. Zadowoleni rodzice gościli swych synów-partyzantów. Przebraliśmy się w odświętne garnitury, odwiedziliśmy sąsiadów i kolegów. Wieczorem poszliśmy na zabawę zorganizowaną przez brata i jego kolegów. Brat wypił sporo, z przyjemnością słuchałem partyzanckich piosenek w jego wykonaniu, miał niezły głos i słuch. Nad ranem przypomniałem bratu, że czas opuścić wesołe towarzystwo, chciał odprowadzić swoją dziewczynę, zgodziłem się postanawiając, że ja też odprowadzę sympatię - Gienię Zalewską. Odprowadziłem ją pod dom, usiedliśmy na ławce w ogrodzie, kilka całusów i czułych słów, ale miłe chwile zostały nagle zakłócone podejrzanym szczekaniem psów i poruszeniem we wsi. Szybko rozstałem się z dziewczyną, pobiegłem do domu, przebrałem się, pożegnałem rodziców i wyszedłem na ulicę. Byłem bardzo zaniepokojony o brata, w domu go nie zastałem. Postanowiłem natychmiast opuścić wieś sam drogą prowadzącą obok moich zabudowań w pole. Wzdłuż drogi biegły okopy sowieckie rozpoczynające się zaraz za stodołami. Zaczyna już świtać, uszedłem zaledwie około dwudziestu metrów, gdy z okopów dobiegło mnie pytanie: "Stój, kto idzie?". Odpowiadam spokojnie, że swój. "Kto swój i dokąd?". Pyta mnie już kilka hardych głosów. Zorientowałem się, z kim mam do czynienia, zrozumiałem, że wieś jest otoczona, moje położenie okropne: droga ogrodzona drutem kolczastym, za drutem tzw. "zagumianka", gdzie latem pasły się nasze krowy, dalej dość duże już żyto odległe o jakieś 35 metrów. Błyskawicznie decyduję się uciekać w tym kierunku. W jednej ręce trzymam odbezpieczony rewolwer, w drugiej granat, ale nie mam czasu na wyrwanie zawlecзки i obie ręce zajęte, odpowiadam jeszcze na kilka pytań, że jestem tutejszy, wracam z zabawy. Kilka postaci podniosło się z okopu, żądają, żebym podszedł. Jedną nogę przełożyłem przez drut, w drugą wbiły się kolce, ale szarpnąłem nie zważając na ból i jednocześnie posłałem pięć kul w kierunku pytających. Usłyszałem, że chowają się do okopu i rzuciłem się do ucieczki, ile sił w nogach. Wpadłem w bruzdę, przeskończyłem jeden zagon i chłkiem uciekam w stronę następnego łąnu.



Teraz dopiero zaczęli strzelać, jakieś 40 sekund po moich strzałach. Najbardziej przejmujące były serie z erkaemu - ciężły kłosa jak sieczkarnia. Byłem już 300-400 metrów od wsi, jeszcze padały pojedyncze strzały. Dalej nie mogłem już biec, zmęczyłem się okropnie, serce łomotało, jakby chciało wyskoczyć z piersi, chwilami miałem wrażenie, że upadnę, mocno krwawiła noga rozdarta drutem kolczastym.

Było widno, kiedy dotarłem do mojego oddziału. Chłopcy słyszeli strzały i poderwali się, żeby biec z odsieczą komendantowi. Zajęto się moją raną. Nie dawała mi spokoju myśl o bracie, ale doszedłem do wniosku, że musiał się gdzieś schować, gdy usłyszał strzały. Wysłałem gospodarza na wywiad i za godzinę dotarła do mnie straszna wiadomość: mój brat został złapany. Wzięli go z zasadki. Prowadził dwie dziewczyny pod rękę, wyskoczyli z za węgła domu i obezwładnili go, nie zdążył użyć broni. Poderwałem cały oddział i biegiem przez pola i łąki dotarłem do choinki kapickiej, tu dowiedziałem się, że przybyłem za późno: godzinę temu odjechały cztery samochody zabierając "Bajana". W trakcie obławy zabili niewinnego człowieka - Władysław Sikorski otworzył drzwi, gdy ubowcy zaczęli dobijać się do jego oświetlonego domu i w tym momencie trafiła go w pierś seria z pepeszy.

Nie zdążyłem uwolnić brata, mało brakowało, a wpadlibyśmy obaj. Zacząłem rozmyślać, w jaki sposób udałoby się Piotrka wyrwać z opresji. Postanowiłem zrobić zasadzkę i złapać kilku oficerów ruskich lub naszych i użyć ich jako zakładników. Do realizacji planu przystąpiłem już po dwóch dniach i przygotowałem zasadzkę w lesie koło wsi Zambrzyce. Wzdłuż szosy ustawiłem karabiny maszynowe, wybrałem drużynę szturmową i wraz z nią zająłem stanowisko na samej szosie. Po godzinie oczekiwania zobaczyliśmy samochód ciężarowy jadący od strony Warszawy, zatrzymałem go, ale był to samochód pocztowy, odesłałem go więc w las. Nadjechał drugi ciężarowy, ale pusty - poszedł w ślady pierwszego. Długa przerwa i znowu ciężarowy, pełen towarów: kilkadziesiąt par butów gumowych, sto drelichowych ubrań roboczych kilka bel zielonego drelichu, kilkanaście męskich płaszczy impregnowanych, kilka bel płótna. Zarekwirowaliśmy towary, przydadzą się partyzantom, szczególnie buty i płaszcze.

Czekamy dalej - nareszcie zbliża się samochód osobowy, zatrzymuję go uniesioną ręką, ale szofer przycisnął gaz, strzelam po kołach, przykład ze mnie bierze cała drużyna, samochód przejechał jeszcze na samych felgach jakieś 50 metrów, stanął w samą porę, bo wjeżdżał już pod lufy karabinów i erkaemów. Wyskoczył cywil z tecz-

ką i rzucił się do ucieczki w stronę lasu, wpadł na oddział i stał wystraszony. Samochód szofer odprowadził w bezpieczne miejsce w lesie i postawił go obok ciężarowych. Zająłem się uciekającym cywilem, był to kasjer ze spółdzielni, wiózł pieniądze do Białegostoku i z nimi tak uciekał, mało brakowało, aby przypłacił to życiem, Zarekwirowaliśmy 174 tysiące złotych, kasjer dostał pokwitowanie i następnego dnia poszedł do Białegostoku.

Strzelaninę słychać było na pewno daleko, zmuszony byłem przerwać akcję. ~~Kilku partyzantów wysłałem po furmanki, na które załadowaliśmy zdobycz, pięciu chłopców zostawiłem, aby przez dwie godziny popilnowali szoferów i cywili. Oddział odjechał lasami w kierunku wsi Grabowo-Stare, tam załadowaliśmy towary w dobrze zakonspirowanym miejscu, wozy odprowadzono gospodarzom których pozostawiliśmy w lesie w miejscu odległym o około trzy kilometry od magazynu zdobyczy. W tym czasie dołączyli do nas partyzanci pozostali przy samochodach.~~

Tej nocy zakwaterowałem z oddziałem w Ożarach. Wieś położona była blisko bagien ciągnących się pod Wizną i dalej. W razie najeźdu było gdzie się wycofać. Od tej pory często ukrywałem oddział na tych bagnach, były naszą twierdzą w okresie lata i dobrym punktem w najbardziej krytycznych momentach.

W Ożarach kwaterowaliśmy u pięciu gospodarzy w grupkach po dziesięciu chłopców. Ja zawsze szedłem do mojej sympatii, Haliny Kalinowskiej ~~(pisałem o niej wspominając pogrzeb Goska)~~ i tym razem cichutko zapukałem w okno, wiedziałem, w którym pokoju śpi. Zbudzona nad ranem ze snu dziewczyna szybko ubrała się i witała nas z miłym uśmiechem. Nie pozwoliłem zapalać światła, powiedziałem jej, że przyszedłem z całym oddziałem po udanej akcji. Wiedziała już, co się stało podczas świąt z moim bratem. Dotarła do niej wiadomość, że mnie także złapali, później mówiono, że udało mi się uciec, ale jestem ranny. Zawstydzona przyznała mi się, że wylała dużo łez i przez dwa dni nic nie jadła i to wszystko przeze mnie. Ta wypowiedź sprawiła<sup>mi</sup> przyjemność, lżej było narażać się na śmierć jeśli po niej zapłacze jeszcze ktoś poza Matką. Podziękowałem jej za miłe słowa dodając otuchy, ale jednocześnie było mi smutno i ciężko. Ona potrafiła mnie zrozumieć i dodać mi otuchy, była mądra i wyrozumiała. Na brak powodzenia nie mogła narzekać. Urodę miała przeciętną, ~~ale rysy szlachetne, wzrost średni.~~ Była jak na ówczesne stosunki, bogata. Ojciec zmarł, teraz sama gospodarowała na 35-hektarowym gospodarstwie zatrudniając dwóch parobków i dwie służące, hodowała 10 krów, 4 konie, ok. 30-tu świń. Ziemię miała dobrą i utrzymaną w kulturze, żyzne łąki i piękny las. Przyjeżdża-



li do niej w konkurencji synowie szlachty zamożnej i średniej, znani z sukcesów u niewiast próbowali ją zdobyć, niejeden "nachal" dostał po gębie i na tym się skończyło. Była cnotliwa i dumna z tego - idealna kandydatka na żonę i matkę. Mnichem nie byłem i korzystałem z łatwej zdobyczy, gdzie się dało. Próbowałem też i ją namówić "do grzechu". Zapytała, czy dam jej słowo, że zostanie jej mężem. Wytkumaczyłem się moim krytycznym położeniem, odparła, że będzie czekać nawet dwadzieścia lat. Zacząłem się ostrożnie wycofywać, skończyło się to płaczem i orzeczeniem, że jej nie kocham. Matka Haliny traktowała mnie początkowo jak przygodnego znajomego, jednak po upływie pewnego czasu zauważyła widocznie niepokojącą zmianę w córce i usiłowała mnie wybadać. Mówiła o ciężkich czasach, ~~kiedy młodzi mężczyźni zamiast żenić się i zakładać rodziny, codziennie narażają się na śmierć.~~ Pytała, co mam zamiar zrobić po wojnie, co myślę o Halinie, której prawdopodobnie już zawróciłem w głowie, bo dziewczyna nikogo poza mną nie chce znać, zaciągnę ją w lata itd. itd. Wysłuchałem wszystkiego spokojnie i przyznałem matce rację. Była zaskoczona moją odpowiedzią, ale kontynuowała swoje wywody. Wreszcie zapytała wprost, co myślę o Halinie. Zgodnie z prawdą odrzekłem, iż uważam ją za idealną kandydatkę na żonę. W tym momencie wszedł przedmiot naszej dyskusji, zauważyła natychmiast, że miała miejsce jakaś poważna wymiana zdań, chciała wiedzieć, na jaki temat. Powiedziałem pół żartem, że mama jej nie życzy sobie, abym zawracał córce głowę. Zareagowała gwałtownymi wymówkami pod adresem matki, ale zrozumiałem, że są w znowie. Wstałem od stołu i powiedziałem: "Moje drogie Panie, jak długo będę nosił mundur na sobie, tak długo pomimo naprawdę szczerych chęci słowa dać nie mogę, moje życie jest zagrożone, jakiegokolwiek plany na przyszłość są w tej sytuacji nierealne."

Pożegnałem Halinę i jej matkę ~~po nawiązaniu zaproszenia na obiad~~ i odszedłem do swoich "dzieci". Przeszedłem się po kwaterach - chłopcy spali, czuwało jedynie trzech wartowników przebranych w cywilne ubrania. Obudzono mnie na obiad, zjedliśmy skromny posiłek sporządzony przez gospodarzy, wyjątkowo tym razem nie mieliśmy swego prowiantu. Zwykle prowadzaliśmy ze sobą wóz z kuchnią polową, żywnością, naczyniami i zapasem amunicji, teraz zostawiliśmy wóz ze względu na bezpieczeństwo - po każdej akcji dywersyjnej obawiałem się pacyfikacji.

Przed nadejściem wieczoru przyjechał Komendant powiatu "Sterns" z "Cyganem" i Zbyszek Żwański ps. "Noc", syn Komendanta Okręgu "Błękit". "Sterns" poinformował mnie o nowych nominacjach, m.in.

"Cygan" został mianowany szefem organizacyjnym pow. "Mazur" i awansował do stopnia podporucznika. Z przyjemnością złożyłem Jankowi gratulacje - lubiłem go bardzo. Był dzielnym partyzantem. Zaraz po przyjeździe Moskali wstąpił do UB na polecenie organizacji, tam szybko awansował i został szefem powiatowym UB. Kiedy grunt zaczął mu się palić pod nogami, wrócił do żandarmerii okręgowej. Zbyszek Żwański wysłany do wojska przez swego ojca dosłużył się stopnia porucznika, brał udział w zdobyciu Berlina, trzykrotnie ranny nosił jeszcze dwie kule w pośladku, zauważył, że w wojsku zaczynają go obserwować, nawiał do ojca i teraz przydzielony został także do żandarmerii.

[...] Przekazałem "Sternie" wszystko, co wczoraj zarekwizowałem, był bardzo zadowolony, Dwadzieścia tysięcy złotych wypłacił mi na potrzeby oddziału. Rozkazał mi stanowczo zaniechać mego planu dotyczącego wzięcia zakładników. Tłumaczył, że nawet jeśli uda mi się złapać kogoś ważnego, brata tym nie uratuję, a jeszcze stracę rodziców. Moja nadzieja załamana się, zrozumiałem, że jestem bezsilny. Wywiad doniósł, że administratorzy majątku Stelmachowo sprowadzili 20 koni, założyli chlewnię, organizują oborę - w sumie ma być to pokazowy PGR, do ochrony przydzielono pluton KBW. Otrzymałem rozkaz od "Sterny" zarekwizować, co się da ze wspomnianego PGR-u. Wieczorem dokonałem przeglądu całego oddziału, byłem zadowolony, bo przegląd wypadł dobrze. "Cygan" i "Noc" także przyglądali się z uznaniem. "Sterna" pożegnał nas i po cichu powiedział mi, że teraz będzie częstszym gościem. Każdego dnia wieczorem przed odmarszem był zwyczaj odśpiewania modlitwy i hymnu partyzanckiego którego tekst przytaczam:

Na znojną walkę, na krwawy bój z wrogami,  
Każdego z nas sumienia wezwał los.  
Przebojem iść, a los iść musi z nami,  
a jeśli nie, to przełamiemy los.

Życie lub śmierć rozdziela nam przypadek,  
Najwyższym hasłem jest żołnierska cześć  
Granatów huk bojowych wypraw śladem  
Twardego życia twarzą tworzą pieśń.

Bo nasza pieśń nie pachnie rozmarynem  
nie ma w niej dziewcząt ni różanych ust,  
jak nasze życie pachnie krwią i dymem  
Pieszczotą rąk - karabinowy spust.



(strumień wpadający do Śliny), tam wyprzęgnięto konie i puste wozy wpełniono do wody w głębszych miejscach. Kropiewnickiemu kazalem szybko zabronować nasze ślady na podwórku i iść spać. Przeszliśmy obok Kopic wąską polną drogą i pomaszerowaliśmy dalej do wsi Milewo-Zabielne. Niepokoiło mnie zajadłe szczekanie psów na przeciwległym skraju Kopic. Koło Milewa chciałem przejść szosę Warszawa-Białystok i skierować się na lasy Mazurowskie. Weszliśmy do wsi, psy obudziły się i zaczęły ujadać. Szpica zatrzymała się w pobliżu szosy, jeden z partyzantów cofnął się i dał mi znać, że na szosie panuje jakiś ruch. Zatrzymałem oddział i sam podszedłem bliżej. Było ciemno, chwilami tylko przeblyskiwał księżyc, mogłem dostrzec stojący na szosie samochód ciężarowy, w pewnym momencie księżyc wytoczył się w całej okazałości zza chmur i wtedy zobaczyłem wyraźnie rozwijającą się wzdłuż linii szosy tyralierę. Dałem rozkaz od wrotu, szybko wyprzęgać konie z pozostałych dwóch wozów. Wozy pozostawić na środku drogi, zabierając z nich broń zdobytą w Stelmachowie, reszta nieważna. Przeszliśmy wpław Ślinę, płytką na szczęście w tym miejscu. Łakami dotarliśmy do wsi Sikory Bartkowięta, omińliśmy ją nie budząc psów. Dalej szliśmy przez pola, las i na łaski aż doszliśmy do wsi Grabowo - Nowe. Tu zastał nas dzień. Koło nie rozmieściliśmy po jednym u gospodarzy. Poprowadziłem oddział dalszą drogą lasami Grabowskimi i Chlebiodkowskimi, aż dotarliśmy na biele pod Wizną. Mieliliśmy tu suchy "grądzik" porośnięty karłowatymi drzewami. Chłopcy przynieśli siana ze stogów, oddział spał do południa. W południe siostra "Wierusa" Stanisława Grabowska z koleżanką przywiozły nam w dwóch 30-litrowych bankach obiad i wodę do picia. W Grabowie panował spokój, co działo się dalej - nie wiedziałem. Depierz, Kieczorem przyjechał łącznik kom. powiatu Lucjan Sikorski z Sikor ps. "Mucha". Był łącznikiem na siatce od kilku lat nienagannie wywiązywał się z obowiązków, nikt nie mógł spożliwać się po nim bigosu, jakiego później narobi w organizacji.

"Mucha" przywiózł mi niedobre wieści. W Milewie aresztowano wszystkich mężczyzn. Zjechało się 26 samochodów KBW, UB i MO. Przez parę godzin robiono w Milewie rewizję. Kopali w ogrodach i przetrząsali budynki, szukali dużych, dobrze zamaskowanych schronów. Nie znaleźli śladów naszej ucieczki, nie przypuszczali, że cały oddział z końmi przeszedł przez rzekę i błoniastymi łakami wymknął się z potężnych kleszczy, które, jak się później okazało, już się zaciskały. Rzeka ukryła ślady, kładkę, po której przeszliśmy, kazłem zerwać i popłynęła z prądem. Łaka była błotnista, ale znałem ją dokładnie i udało mi się wybrnąć przejeżdżając, gdzie konie nie lgnęły.

~~(Ty i nie robiły śladów. Okazało się, że kiedy zobaczyłem tyralierę na szosie, od~~<sup>ca)</sup> strony Kapic szła za nami cała kompania KBW. Straciłem trochę czasu na pozostawienie i ukrycie półtoracznych wozów, ale one wraz z zawartością zostały uratowane. Ubowcy - barany nie przypuszczali, że mogę po drodze pozostawić to, co mi przeszkadzało. Gonili nas, ale chyba nie bardzo się im spieszyło dopędzić nas w nocy. Wiedzieli, że dysponuję siłą ogromną ognia i po ciemku <sup>mo-</sup> gę im porządnie kości poprzetrącać. Nie jest łatwo następować, kiedy bije dwanaście erkaemów. Dobrze jednak, że nie posłuchałem "Aty ma", kiedy namawiał mnie do starcia z tyralierą na skraju Milewa. Ujadanie psów w Kapicach ostrzegło mnie w porę.

Po dwóch dniach wypuścili milewiaków, niektórych porządnie i bitych w czasie przesłuchania. Żałowałem bardzo niewinnych ludzi cierpiących za nas. Alarm wszczął żołnierz, którego nam brakowało wśród rozbrojonych w PGR-rze. On zawiadomił Jeżewo, stamtąd zaalarmowano Białystok. Teraz codziennie jeździli po okolicy i szukali mego oddziału, podczas gdy siedziałem spokojnie pod Wizną. W Zawadach zabili Józefa Wiśniewskiego, członka WiN-u. Był starym partyzantem i dotąd zawsze dopisywało mu szczęście. Przed wojną był przodownikiem w policji granatowej. Osierocił żonę i dwoje dzieci: 10-cie i 14-letnie.

Obrzydło mi już siedzenie na bielach, postanowiłem wymknąć się stamtąd. Wieczorem wzięliśmy ze wsi dziesięć furmanek z dobrymi końmi i w ciągu nocy odskoczyliśmy aż w okolice Czyżewa, za Wysokim Mazowieckim. Tam był spokój. Miałem kilku partyzantów pochodzących z tych stron, poza tym dysponowałem mapami. We wszystkim pomagała dobrze zorganizowana siatka. Parę dni kręciłem się w tych stronach, zrodził się plan zabrania kasy ze spółdzielni w Czyżewi.

Zakwaterowałem na kolonii odległej o dwa kilometry od Czyżewa. W dzień jarmarczny po południu przebrał się "Wiarus" za niewiastę i w towarzystwie dwóch kolegów w cywilu wsiedli na rowery wypożyczone z siatki i pojechali do Czyżewa. Oddział stał w pogotowiu bojowym. W Czyżewie był nowozałożony posterunek MO, ale jego funkcjonariusze siedzieli cicho. Nękał ich od czasu do czasu "Żbi ze swoim oddziałkiem, groźny był dla nich stale "Huzar" - dowódca dużego oddziału WiN. Teraz i ja rozpocząłem działalność na tym terenie.

Minęła godzina od wyjazdu "Wiarusa", zacząłem się niepokoić, że za bardzo przedłużyła się ich nieobecność. Naraz ujrzałem przez lornetkę sylwetki damy i dwóch dżentelmenów na rowerach, ona jechała pierwsza. Rozradowany "Wiarus" zeskoczył z roweru i zameldował



wykonanie rozkazu. Zapytałem, ile wzięli, odpowiedział, że nie liczył. Odpiął worek z bagażnika, prawie pełny. Zajrzałem - było dużo drobnych, nie brakowało jednak i banknotów po 500 i 1000 złotych. "Czy nikt was nie gonił?" - "Ależ skąd, myśmy gonili milicjanta, ale uciekł nam w zabudowania". Wyobraziłem sobie minę "główny" uciekającego przed niewinnie wyglądającą kobietą. "Wiarus" poważnie opowiadał, że wszystko szło gładko do momentu wejścia do sklepu zapełnionego kupującymi - przeważnie kobietami. Kiedy wyciągnęli rewolwery i rozkazali klientkom i ekspedientkom paść na ziemię, dalsza praca była poważnie utrudniona, ponieważ leżącym pozaginały się spódnice, a na nieszczęście <sup>wiele</sup> z nich było bez majtek. Zapytałem jeszcze, czy na pewno zabrał wszystko, może przyglądał się, zamiast szukać.

Naliczyliśmy około 250 tysięcy złotych. "Wiarus" otrzymał pochwałę i obiecałem przedstawić go do awansu na plutonowego. Był to ~~człowiek o niespożytej energii i świetnym zmyśle organizacyjnym.~~ Oddał mi wiele nieocenionych przysług, doskonały doradca.

Wieczorem przeniosłem kwaterę pod Łapy, do wsi Uszyńskie. Następnego dnia przyjechał "Cygan" doskonale znający te strony. Zmianiliśmy kwaterę na każdą noc, w końcu znaleźliśmy się blisko Suraża. "Cygan" namówił mnie do rozbrojenia miejscowego posterunku MO. Przeprowadziłem dokładny wywiad, wiedziałem wkrótce, ilu jest milicjantów, jaką bronią dysponują. Niekorzystne dla nas było podejście do budynku zlokalizowanego na półwyspie nad Narwią, dojść można było jedynie ulicą od strony miasteczka. Długo się wahałem, ale w końcu zdecydowałem się na akcję. O zmroku oddział ruszył do wsi po mocne furmanki, którymi po akcji planowałem zrobić daleki odskok. Bliskość Białegostoku nakazywała szybkie działanie. Zostawiłem wozy w odległości niecałego kilometra od Suraża. "Wiarus" i tym razem poprowadził drużynę szturmową. Zaskoczenie decydowało o powodzeniu całej akcji - działek nie miałem, dwoma pancernymi i kilkunastoma granatami przeciwczołgowymi nie rozwaliłem się grubego muru. Prowadziłem oddział bez przekonania o powodzeniu. Nadejście pomocy dla zaatakowanych i odcięcie nam drogi odwrotu przez miasteczko mogło oznaczać koniec - Narew w tym miejscu była bardzo szeroka i głęboka, przepłynięcie jej w pełnym rynsztunku bojowym byłoby wyczynem ponad siły. Drużyna szturmowa była już w obrębie posterunku, cisza panuje zupełna. Rozstawiłem erkaemy wycelowane w okna i dopadłem chłopców z drużyny - kręcili się wokół budynku nie mogąc w żaden sposób wejść do środka. Drzwi na parterze są pozamykane, w oknach kraty. Z drugiej strony budynku dobiegają mnie jakieś głosy

Biegne tam i widzę "Wiarusa" z czterema chłopcami, trzymają automaty wycelowane w wartownika stojącego na balkonie. "Wiarus" trzyma wartownika na muszce i nie pozwala mu się ruszyć. Szybko oceniłem sytuację, podszedłem bliżej i kazałem wartownikowi udać się natychmiast do komendanta posterunku i zakomunikować mu, że wzywam go na balkon, jeżeli nie posłucha, wysadzimy cały posterunek w powietrze, miny są już założone i podłączone do aparatu zapłonowego. Wartownik poszedł, tymczasem ja zacząłem rozważać, w jakiej paskudnej znaleźliśmy się sytuacji. Jeżeli oni pierwsi rozpoczną ogień, wystrzelają nas jak kaczki. Rozkazałem drużynie szturmowej zająć stanowiska pod murem, teraz mogą nas już tylko granatami razić. Podałem po linii rozkaz do oddziału, aby wszyscy trzymali broń wycelowaną w okna na piętrze i natychmiast otwierali ogień, jeśli zauważą błyski (przy wyrzucaniu granatu rosyjskiego najpierw strzela spłonka zapalnika i w nocy można zobaczyć błysk, po pięciu sekundach następuje dopiero wybuch).

Upłynęły może dwie minuty i na balkonie ukazał się komendant. Przedstawiłem się mu jako "Bury" i wezwałem go do natychmiastowego poddania posterunku. Oświadczyłem, że o ile wykona mój rozkaz, zostawię wszystkich przy życiu. Drżącym głosem prosił o słowo honoru, że dotrzymam obietnicy. Dałem słowo i po chwili cały posterunek był w naszych rękach. Zabraliśmy kilka pepesz i kabeków, skrzynkę granatów i około dwóch tysięcy sztuk różnej amunicji. Całą rozbrojoną załogę kazałem zamknąć do aresztu, tak, jak zawsze to robiliśmy, klucze powędrowały do mojej kieszeni. Broń załadowaliśmy na furmanki, po drodze w miasteczku zabraliśmy różne towary z dwóch sklepów spółdzielczych: kilkadziesiąt litrów wódki, kilka skrzynek mydła, parę worków soli, cukru i mąki oraz różne drobiazgi. Brakem, co wpadło w ręce - wszystko było nam potrzebne. Przeciągnęło się do godziny 23-ciej, trzeba było odjeżdżać, noc krótka, a droga daleka. Akcja powiodła się, na co nie bardzo liczyłem.

Było już widno, kiedy dotarliśmy do lasu Mazurowskiego. Wozy i furmanów zatrzymałem przy oddziale przez cały dzień, aby nie naprowadzili wroga na nasz ślad. Konie dostały siano do jedzenia, właściciele podwódt ułożyli się na wozach, partyzanci zasnęli w gestym zagajniku. Warty wzmocniłem na dwugodzinnych zmianach stało nie trzech, jak zwykle, ale dziesięciu, pięciu patrolowało las na przestrzeni kilometra kwadratowego. Wywiad z miejscowej siatki czuwał w okolicznych wsiach. Około południa przyjechał goniec od miejscowego dowódcy kompanii NZW z meldunkiem, w którym informowano mnie, że pościg za nami trwa. Trzy sowieckie tankietki i siedem



ciężarowych samochodów pełnych Moskali pojechało w kierunku Raci-  
bor. Udział Rosjan w pogoni świadczył, że szukają dużego oddziału  
Uwierzyli więc, kiedy podałem się za "Burego". Rozbrojeni także,  
pragnąc się usprawiedliwić, wyolbrzymili naszą potęgę. Później  
nasz wywiad doniósł, że mieszkańcy Suraża widzieli nas ponad trz-  
ystu, widziano też armaty, wiadomo - strach ma wielkie oczy. Parę  
dni później spotkałem "Dunina" (Adolfa Gasowskiego), Komendanta  
wiadu "Bałtyk", do którego należał Suraż. Poważnie pytał mnie,  
skąd wzięłem działa do tej roboty. Śmiałem się z fany o potęgę  
mojego oddziału.

Następnej nocy wracałem w rodzinne strony. Teraz tu zapanował  
spokój, kiedy namieszkałem koło Wysokiego Mazowieckiego i Łap, mo-  
głem wracać pod Tykocin i trochę odpocząć. Prowadziłem oddział  
przez las koło wsi Wnory-Wandy, było już po północy. W pewnej chw-  
li usłyszałem niedalekie rżenie konia. Zatrzymałem chłopów, wzię-  
łem ze sobą trzech i powoli poszliśmy w kierunku, z którego dobie-  
gło mnie rżenie. Szybko odnaleźliśmy dwa uwiązane do drzew konie,  
jednak pomimo natychmiastowego otoczenia lasu nie zdołaliśmy ująć  
złodziei, bo nie ulegało wątpliwości, że konie są kradzione. Zabr-  
łem parę ślicznych zwierząt i postanawiając odnaleźć ich właścici-  
la. Rano zawiadomiłem komendę powiatu, stąd poszła wiadomość do  
wszystkich kompanii. Po czterech dniach konie wróciły do swego pa-  
na w okolice Czyżewa, Gospodarz serdecznie dziękował mnie i całemu  
oddziałowi, przeznaczył na nagrodę 15.000 zł., konie przedstawiały  
wartość 120 tysięcy.

Był koniec sierpnia 1946 roku. W Białymstoku stanął przed są-  
dem doraźnym mój brat. "Bajan". Skazany został na karę śmierci. W  
kilka dni później "Gazeta Białostocka" podała, że wyrok wykonano.  
Nie wydał nikogo. Wytrzymał wszystkie tortury stosowane przez UB w  
Wysokim Mazowieckim, później przewieziony został do Białegostoku,  
tu też nie wydusili nic z niego brata. Piotrek znał wiele tajemnic  
organizacji, wiedział, gdzie są ważniejsze kwatery i punkty organi-  
zacyjne, znał wszystkich członków NZW i większość WiN-u na terenie  
gminy Kobylin, Zawady i Tykocin, ludzi zdekonspirowanych i wielu  
niezdekonspirowanych. Wszystkie te wiadomości posiadał na skutek  
mojej aktywnej pracy w szeregach NZW, moich kontaktów z tysiącami  
ludzi. "Dunin" miał do mego brata bezgraniczne zaufanie i także nie  
krył się przed nim z wieloma sprawami. Piotr chodził w oddziale  
"Burego", następnie w żandarmerii okręgowej pod dowództwem "Ciemne-  
go", znał całą komendę okręgu i powiatu. Początkowo bałem się, że  
brat nie wytrzyma i załamie się w śledztwie, ale obawy okazały się

"Gryf" dokonał ze swoją grupą pozorowanego napadu na posterunek, postrzelali okna i ściany budynku, komendant niby się bronił, niewygodny komendantowi funkcjonariusz został postawiony tego dnia na warcie i został ciężko ranny, następnego dnia pojechał do szpitala i nie wrócił już. "Gryf" wycofał się, komendant pozostał w chwale na placu boju, otrzymał od UB awans i zyskał wielkie zaufanie.

Parę dni po tych wypadkach przyjechał do Tykocina zastępca szefa UB z Wysokiego Mazowieckiego z trzema innymi i zaczęli montować siatkę wywiadowczą. Mieli ze sobą listy z nawiskami i pseudonimami konfidentów kontrwywiadu sowieckiego. Wzywali ich do siebie i jeździli do niektórych celem nawiązania kontaktu. Komendant posterunku MO zameldował "Gryfowi" o wszystkim i podał termin odjazdu UB/owców. "Gryf" starannie przygotował zasadzkę w lesie pod Tykocinem, na szosie. Zasadzka zdała egzamin, zastępca szefa UB i dwóch jego podwładnych zostało zabitych, jeden choć ranny, jakimś cudem uciekł. Partyzanci ponieśli też stratę: zginął "Kazik". Lista konfidentów z całego powiatu i wszystkie ni mniej ważne dokumenty jeszcze tego samego dnia znalazły się w rękach sztabu Okręgu "Chrobry". Płk. "Błękit" i kpt. "Dunajewski" drobiazgowo przeanalizowali wszystkie nazwiska. Koło wieczora wszystko zostało przygotowane. Grupa "Gryfa" dostała wykaz konfidentów z Tykocina i okolic, żandarmeria okręgowa została podzielona na trzy grupy, każda z nich otrzymała podobny wykaz. Cztery grupy wyruszyły w teren i w ciągu nocy zlikwidowały wszystkich szpiegów.

[...] Wezwano mnie do sztabu. Kiedy się zameldowałem, "Błękit" i "Dunajewski" zapytali czy wiem, kto jest szpiegiem w Kapicach i chcieli, żebym sam go znalazł. Płk. "Błękit" krzyczał, że mój brat został przez niego wydany i niewiele brakowało, abym sam głową nałożył. W końcu dali mi kartkę i przeczytałem: "Górski Lucjan, syn Juliana - pracował w kontrwywiadzie radzieckim od roku 1944 - przewerbować na polski". Zaniemówiłem, tak niespodziewana i nieprawdopodobna była ta wiadomość. Zaprotestowałem przeciwko nieprzemyślanemu podejściu do tej sprawy - to mogła być prowokacja. "Dunajewski" wydobyl drugi dokument, z którego wynikało, że Górski otrzymał jakąś nagrodę od Sowietów za oddanie ważnej przysługi. Zacząłem analizować ten dokument i po zestawieniu dat upewniłem się, że nie mogło to chodzić o mojego brata, lecz w tym czasie faktycznie aresztowany został Dominik Sikorski. Górski nie miał kontaktu z UB, kiedy pech doścignął Piotrka, co jednak dotyczyło Sikorskiego, zacząłem nabierać przekonania, iż jego wpadka była robotą Górskiego, od dawna ci dwaj nie lubili się, często szkalowali się nawzajem. Jed-



nak nie wspomniałem ani słowem o tym zestawieniu faktów Pułkownikowi. Przypomniałem sobie, że tuż po wkroczeniu Moskali zostało aresztowanych kilku mieszkańców Kapic, m.in. Górski. Już wówczas przypuszczaliśmy, że Rosjanie organizują siatkę szpiegowską, ale nikomu nie przyszło do głowy, że Górski mógł zgodzić się na współpracę z nimi. Ten najbogatszy w naszej wsi gospodarz cieszył się ogólnym autorytetem, należał do organizacji WiN. Jego syn - mój najlepszy kolega był członkiem NOW, potem przeszedł do PZP i WiN-u. Córka Irka, jedna z najelegantszych panien w Kapicach, kilkuletnia sympatia "Dunina" też należała do WiN-u.

Postanowiłem bronić Górskiego. Trudno - myślałem - stracił rozum, stchórzył, podpisał współpracę. Tłumaczyłem "Błękitowi" i "Dunajewskiemu", że na pewno Moskale wymusili na nim współpracę, gdyby pracował razem z nimi szczerze, dotąd już żadnego partyzanta nie byłoby w Kapicach. Prosiłem "Błękit", aby nie wydawał na Górskiego wyroku. "Dunajewski" szydził z mojej pobłażliwości, ciągle uważał mego brata za ofiarę tego konfidenta. ~~Odszedłem ze sztabu niepewny, czy jeszcze tej nocy nie zastrzelił Górskiego.~~

Pojechałem z "Atomem" i "Kulikiem" do domu, powiedziałem im, że mam do załatwienia ważną sprawę rodzinną, zostawiłem ich u sąsiadów, sam - niby do rodziców - poszedłem do Górskiego. Była późna noc, obudziłem cały dom. Górskiemu kazałem uciekać i przez jakiś czas nie pokazywać się w Kapicach. W rozmowie przyznał się do podpisania współpracy, tłumaczył, że dali mu wypalić jakiegoś papierosa i potem nie wiedział co robi. O sprawie Górskiego dowiedział się "Dunin" i stanął w jego obronie, podobnie jak ja.

Sztab na razie wstrzymał się z zajęciem ostatecznego stanowiska Górski przez parę dni unikał ludzi, a ponieważ nikt go na razie nie ruszał, nawiązał przez Ludwika Iwasińskiego kontakt z komendantem obwodu WiN. Widocznie przyznał się do winy i okazał skrucę, bo ten wydał mu zaświadczenie stwierdzające przynależność do WiN-u, wobec czego nasza organizacja nie ma prawa karać Górskiego. Górski jak dobry dureń udał się z tym swistkiem do "Sterny", który zawiadomił o tym sztab okręgu. Dowództwo wysłało żandarmerię z rozkazem spuszczenia Górskiemu na razie lania i nałożyło 250 tysięcy zł. kontrybucji. Górski miał szczęście, że byłem akurat blisko i pojechałem za "Ciemnym". Prosiłem go, aby nie bili mocno. Nie ufałem całkowicie "Ciemnemu" i, kiedy weszli do mieszkania, stanąłem pod oknem. Górski wyjął zaświadczenie, "Ciemny" przeczytał je, obejrzał dokładnie, po czym ryknął: "ty sk... synu, masz zaraz ten papier zjeść!". Górski zaniemówił, ale nie kwapił się do wykonania polecenia.

nia, wobec czego oberwał kilka razy w twarz, aż popłynęła krew. Kobiety podniosły krzyk, usunięto je do sąsiedniego pokoju, tam z bitem stanął nad nimi "Trojdan", szwagier "Dunajewskiego". Górski żuł papier w gębie, nie mógł przełknąć, prosił o wodę do popicia, jakoś powoli zmęczył niecodzienny "posiłek". Nos krwawił mu w dalszym ciągu. Teraz "Ciemny" wyznaczał kontrybucję do spłacenia w ciągu tygodnia. Gdy skończył, wyciągnął taboret na środek kuchni i kazał Górskiemu sciągnąć spodnie. Ten ociągał się w dalszym ciągu. "Burza" wziął go za kark i siłą położył na stołku. Górski miotał się, więc dostawał, gdzie popadło. Nie mogłem czekać już dłużej, uderzyłem pięścią w ramę okna i krzyknąłem: "dosyć!". Odskoczyli jak na komendę, nieszczęśnik podniósł się z podłogi, przypadł do okna i wołał: "Lutek! ty tu jesteś! ratuj mnie!". Poznał mnie po głosie. Nie wszedłem do mieszkania, nie chciałem patrzeć na tych niegdyś tak mi bliskich ludzi, za których gotów byłem życie oddać. Kolejno wychodzili żandarmi. "Ciemny" tłumaczył się: "Mało dostał, niech dziękuje Bogu i tobie, że jeszcze żyje - jego kompani gryzą już ziemię". Po tygodniu żandarmeria pojechała po pieniądze. Górskiego nie zastali w domu, pieniędzy nie przygotował. Wzięli parę ładnych koni z wozem, wieprza oraz dwie pary butów. W ten sposób zakończono sprawę Górskiego, ~~on jedynie pozostał przy życiu~~. W okolicy ~~zapanował spokój~~, UB nie miał informatorów, a w ślepo nie było łatwo atakować.

W Chrzczonach wpadł ranny z mego oddziału - "Mars". Już nieźle podleczył swoje postrzelone płuca, kiedy wpadł w ręce UB z Łomży. Zaczął sypać po kolei, co wiedział. Znał kwaterę kpt. "Dunajewskiego", kpt. "Grota". We wsi Sikory mieliśmy doskonały schron, aresztowano właściciela posesji, gdzie się znajdował, młodego członka NŻW Chłopak, Eugeniusz Sikorski próbował uciekać, zastrzelili go. Zostawił matkę i kilkuletnią siostrzyczkę.

Chciałem pomścić tego chłopaka. Zmobilizowałem osiemnastu partyzantów z mojego oddziału, robiłem to w porozumieniu ze "Sterną". Na pogrzeb przyszedliśmy w pełnym umundurowaniu i rynsztunku bojowym. Nieśliśmy trumnę do krzyża - chciałem sprowokować UB. Mieliśmy sześć erkaemów i trzy bertmany (czeskie automaty 32-strzałowe). Niosłem teraz bertman i 300 sztuk naboju do niego. W dzień UB-owcy nie przyjechali. Wieczorem "Sterna" dał mi polecenie pojechać i zabrać wieprza chłopu, który za coś tam podpadł. Zastrzelonego wieprza wrzuciliśmy na furę i wracaliśmy trzema furmankami, minęliśmy szosę Warszawa-Białystok i wjeżdżaliśmy do wsi Kołaczki. Jechałem na pierwszej furmance i mimo ciemności zauważyłem w odległości około stu metrów jakąś gromadę ludzi. Zatrzymałem wozy i dałem gwizd-



rodziny i sąsiadów. Kiedy opuściłem kryjówkę, udałem się do "Dunajewskiego", on też zaczął się bardzo konspirować. Przyjął mnie serdecznie i prosił, abym z nim pozostał przez jakiś czas. Przyjechała jego żona, p. Maria, przez kilka dni zjadaliśmy się doskonałymi zupami jej roboty. Zjechał do nas także płk. "Błękit", wszyscy trzej ukrywaliśmy się stale zmieniając wsie i kolonie. Zająłem się kwatarami, obaj byli bardzo zadowoleni z mojego wyboru. Płk. "Błękit" miał młodziutką, 12-letnią córkę, mieszkała i uczęszczała do szkoły w Łomży. Chciał ją zobaczyć. Wysłałem do Łomży mojego ojca - pojechał i przywiózł Hankę. Przebywała z nami przez kilka dni. Odwiedzała nas często "Ciemny", był sympatią dziewczynki, mała zamęczała go nieustannymi prośbami, aby grał z nią w karty. "Ciemny" podzielił swoją żandarmerię na trzy grupy, które ukrywały się w pobliżu. Zaniechaliśmy na razie akcji na tym terenie, czekaliśmy na powrót spokojniejszych czasów. Porobiliśmy dobrze zamaskowane schrony u zaufanych gospodarzy, chowaliśmy się tam w razie niebezpieczeństwa. Rozkaz budowy schronów otrzymali wszyscy członkowie NZW, niektórzy wykazali wielką pomysłowość i umiejętności. Robiliśmy między sobą próby odnajdywania schronów, ale nawet pomimo dobrej orientacji i pewnych danych nie udawało się odnaleźć tych sprytniej zamaskowanych

M.in. mieliśmy schron w Milewie Zabielnym u p. Milewskiej, której męża zamordowali Niemcy za radiostację. P. Milewska gospodarowała z czworgiem dorastających dzieci. Najstarsza córka - Irka miała już 19 lat, Mirek 17, pozostałe dwoje 15 i 12 lat. Pomimo utraty ojca i męża ludzie ci bez reszty poświęcili się naszej organizacji. Schron u p. Milewskiej mieliśmy zaopatrzone w dwa wyjścia: w domu i w oborze, było to zabezpieczeniem na wypadek, gdyby jedno wyjście zostało odnalezione i obstawione. Spędziliśmy tam kilkanaście nocy w tych ciężkich czasach.

Pod koniec lata 1946 ~~1~~ dwaj partyzanci z mego oddziału, którzy zostali odesłani w okolice Czyżewa, zarekwirowali świnia gospodarzowi, ponieważ naraził się czymś naszej organizacji. Gospodarz należał do WiN-u. Współpraca między WiN i NZW nadal pozostawiała wiele do życzenia, chociaż cel działalności był wspólny. Oddział WiN pod dowództwem "Huzara" Kazimierza Kamińskiego, nie znając moich ludzi złapał "Jarząbka" i "Filipa" (~~"Filip" - Idzikowski Zygmunt, "Jarząbek" - Szyborski Adolf, zostali zamordowani we wsi Moczydły-Jakubowięta w parafii Jabłoń Kościelna i tam pochowani~~), zaraz po fakcie zarekwirowania nieszczęsnego wieprza. "Huzar" nie trudząc się przesłuchiowaniem oskarżonych o kradzież kazał natychmiast obu rozstrzelać. Następnego dnia do sztabu naszego okręgu nadeszły rozpaczliwe meldunki, że "Huzar" morduje członków NZW. Płk. "Błękit" natychmiast

wysłał rozkaz "Buremu", aby nadciągnął celem likwidacji "Huzara". "Ciemny" pomaszzerował już pod łapy, ja dostałem rozkaz mobilizacji oddziału i marszu w tym samym celu do Czyżewa. Szybko zebrałem 26-ciu partyzantów i wyruszyłem, po drodze dołączyła grupa z "Waligó-  
 rą" i "Miedziakiem", koło Czyżewa przyłączył się "Tygrys" z pięcio-  
 ma ludźmi. Miałem 38~~in~~ partyzantów i z tym oddziałem zacząłem pa-  
 trolować teren. Zakwaterowałem we wsi Brzozowa na kolonii przy le-  
 sie. Tego dnia źle się czułem, męczył mnie ból głowy. Po obiedzie  
 położyłem się i smacznie zasnąłem. Obudził mnie "Wiarus" meldun-  
 kiem, że nasi ludzie zatrzymali i rozbroili jakiegoś osobnika. Je-  
 chał furmanką, był w cywilu, miał pistolet i dwa granaty. Nie chce  
 nic mówić, prosi o doprowadzenie do komendanta oddziału. Po chwili  
 przyprowadzili potężnego jak tur mężczyznę, około 30~~ty~~ lat. Sta-  
 nął przede mną na baczność i przedstawił się: "Młot", zastępca "Hu-  
 zara". Uszom nie wierzyłem - czyżby sam wlażł w ręce? Zaśmiałem się  
 i zapytałem czy wie, z kim mówi? On spokojnie odpowiada, że zna  
 mnie ze słyszenia, wymienia mój pseudonim. Wiedzą, że teren naszpi-  
 kowany jest poszukującymi ich partyzantami, zdają sobie sprawę, do  
 czego to prowadzi, boleją nad niebezpieczeństwem przelewu bratniej  
 krwi. Pytam więc, dlaczego, jeśli tak myślą, zabili dwóch moich  
 chłopców. Odpowiada, że nastąpiło wielkie nieporozumienie. Otrzyma-  
 li meldunek, że to zwykli złodzieje, a ponieważ złapali ich na go-  
 rącym uczynku, nie patyczkowali się, jak z prawdziwymi złodziejami.  
~~Wolałbym go nie widzieć, rzucił się z wymówkami do moich wartowni-  
 ków, że zaczepiają cywili.~~ Mówię: "Mam rozkaz zastrzelić Pana na  
 miejscu". "Młot" blednie i odpowiada: "Będzie Pan miał na sumieniu  
 dobrego Polaka". Patrzę na niego - mój Boże - myślę - przecież to  
 taki sam straceniec, jak ja. Wszyscy ginimy z rąk wspólnych wro-  
 gów. Mego brata "Bajana" zamordowali razem z Edwardem Popławskim.  
 d-cą kompanii WiN, "Gazeta Białostocka" podała, że o tej samej go-  
 dzinie odbyła się ich egzekucja. Wyjąłem z oficerskiej torby ten  
 numer gazety i dałem "Młotowi" do przeczytania artykułów o wykonanych  
 wyrokach. Pytam, czy zna Popławskiego, Okazuje się, że to jego ser-  
 deczny kolega, nie zna tylko tego drugiego, bo to nie z jego or-  
 ganizacji. Mówię, że ten "drugi" to mój ukochany brat, widzi Pan,  
 umierali z rąk tego samego kata. Jaki diabeł wymyślił te wszystkie  
 WiN-y, NZW-e i NSZ-y, jesteśmy synami tej samej matki - Polski.  
 Bez podziału na różne organizacje ilu uniknęlibyśmy przykrych sy-  
 tuacji w rozładzie tej, która tu zaistniała, jaką wielką stanowili-  
 bymy siłą zjednoczeni pod jednym sztandarem. Wezwałem "Atome", ka-  
 załem zwrócić rewolwer i granaty. "Młot" jeszcze nie widział, ale



WAMU - 34<sup>ku</sup>

kiedy otrzymał swoją broń oświadczył, że robię to dla propagandy, on zmienia całkowicie zdanie o naszej organizacji i prosiło wszystko "Huzarowi".

W międzyczasie przyjechał do mego oddziału "Cygan". Okazało się, że "Młot" jest jego kolegą z gimnazjum w Łapach. Zaczęły się wspólne wspomnienia. Miałem litr wódki, gospodyni podała zakaske. Po godzinie mówiliśmy sobie z "Młotem" na ty. "Cygan" wysłał do komendy okręgu jeden meldunek, ja drugi. Donosiliśmy o ubolewaniu, jakie wyraził "Huzar" i o jego nieświadomości. Meldunki te spowodowały cofnięcie rozkazu ścigania "Huzara". "Młot" odjeżdżając zobowiązał się do skontaktowania mnie i "Cygana" ze swoim dowódcą. Trzy dni później "Huzar" wyznaczył miejsce spotkania na kolonii wsi Zdrody. Zrobili na mnie dobre wrażenie. Wysoki, szczupły kapitan, absolwent przedwojennej szkoły podchorążych, na wojnie w 1939 r. walczył w stopniu podporucznika. Na kapitana awansował już w partyzantce. Nawiązaliśmy współpracę, uzgodniliśmy hasła. Rozstaliśmy się jako przyjaciele. Nie spotkałem już "Huzara" w lesie, dłużej nasze wkrótce się rozeszły. Zobaczyliśmy się dopiero w więzieniu, w r. 1953.

5...)

Pokazanie się w okolicy oddziału "Burego" było znów przysłówiczym kijem w mrowisku UB. Zaczęło się szperanie i pacyfikacja. Znowu zdemobilizowałem oddział, część jego pozostawiłem koło Cuytewa i Mazowiecka, z resztą pośpiesznie wycofałem się pod Tykocin, tu zwolniłem wszystkich. Sam - wezwany - udałem się do "Dunajewskiego". Pomimo pacyfikacji koło Mazowiecka w tych strefach panował względny spokój. Komenda okręgu prowadziła pertraktacje z WiN-em na temat scalenia obu organizacji. W tym celu przybyły dwa duże oddziały WiN-u z powiatów Węgrów i Siedlce, jednym dowodził por. "Wiktor", drugim - "Młot". Oba oddziały połączyły się z "Burem" w okolicach Bielska Podlaskiego i maszerowaliśmy na odprawę do Komendy Okręgu. Płk. "Błękit" z żandarmerią okręgową czekał na kolonii Szlasy. Nadciągające połączone oddziały zakwaterowały we wsiach Brzozowa / kilka położonych obok siebie wsi o tej samej nazwie/. 27 kwietnia 1946 r. UB-owcy penetrowali teren wiedząc, że gdzieś tu kręci się oddział "Burego", ale całkiem nieświadomi, jaka dysponuje obecnie siła. W niedzielne popołudnie nieoczekiwanie zajęły do wsi trzy samochody pełne UB, KBW i MO. Wywiązała się walka, podczas której partyzanci otoczyli intruzów i zmusili do poddania się. Rozbrojono około 150 żołnierzy, kilku zostało zabitych, wielu rannych. Zjawił się sam "Bury" i kazał posłanie powołać rozbrojonych na UB, KBW i MO. Wybrano

26-ciu funkcjonariuszy UB, "Bury" kazał rozstrzelać wszystkich. Wśród partyzantów też było kilku rannych, zastępca "Burego", por. "Rekin" miał przestrzelone płuca. ~~Oddziały wieczorem przemieszczały się do lasów Garbowa i zakwaterowały na koloniach garbowskich. "Bury" ze swoim szwadronem przyjechał do wsi Gzochanie-Góra i tu się zatrzymał.~~

Było to 30 kwietnia 1946 r., w poniedziałek rano udałem się z "Dunajewskim" do "Burego" celem omówienia terminu i miejsca odprawy sztabu. Dyskutowaliśmy już godzinę, gdy dobiegły nas odgłosy strzelaniny od strony Garbowa, chwilami przypominające bitwę. "Bury" zarządził alarm i odjechał na czele kawalerii. Wrócił po kwadransie i oznajmił nam, że kwatera została zdekonspirowana, oddziały się wycofuja, przyjechały trzy auta KBW, wywiązała się walka, część żołnierzy wzięto do niewoli, ale większość uciekła do lasu, samochody spalono. Niedobrze. Jest dopiero dziewiąte trzydzieści rano, oddziały trzeba wycofać w inne miejsce. "Dunajewski" przestrzegał "Burego", że może nastąpić atak koncentracyjny, należy odskoczyć jak najdalej. "Bury" machał ręką i pytał: ile samochodów może przyjechać? 10 - 15? poradzimy sobie z nimi. "Dunajewski" obstawał przy swoim i zwracał "Buremu" uwagę, że mogą ściągnąć i sto samochodów, wczoraj dostali lanie, wiedza, z kim mają do czynienia.

Odprawa została odwołana. Po chwili ujrzeliśmy tyraliery partyzantów wysuwające się z lasu. "Bury" pożegnał nas i odjechał. Staliśmy na brzegu wsi i obserwowaliśmy naszych chłopców. Stali dziarsko, z bronią gotową do strzału, większość miała rękawy mundurów zakasane pod łokcie. Uzbrojeni świetnie, masa erkaemów, kilkanaście rusznic przeciwpancernych, trzy "piaty" angielskie, kilkanaście pancerfaustów. Oddział liczący pięciuset partyzantów tak uzbrojonych stanowił siłę, z którą wróg musiał się liczyć. Chłopcy pomaszzerowali dalej. Wróciliśmy z "Dunajewskim" do wsi Kapusty, gdzie mieliśmy dobry schron w stodole. Mieliśmy zamiar przespać się parę godzin, ale tylko zdążyliśmy się ułożyć, kiedy wpadł nasz gospodarz mówiąc z podnieceniem, że od strony szosy idą przez pola duże siły rosyjskiego wojska i UB. Wyszliśmy na strych stodoły, szpary w szczycie pozwoliły nam przez lornetki dostrzec trzy tyraliery w odległości około 200 metrów jedna od drugiej. Przyglądaliśmy się Moskałom i skośnookim Mongołom oraz naszym "pieskom" idącym śmiało w towarzystwie swoich mocodawców. Widać było, że zestawiają mocne sieci, chodzi tu o grubą rybę, która słabsze sieci przerwałaby bez trudu. Byliśmy bezradni, nie mogliśmy już tym razem pomóc naszym, sami byliś-



my raczej bezpieczni, oblawa powinna zostawić wieś w spokoju i iść dalej. Powiedziałem "Dunajewskiemu", że gdybym ja dowodził oddziałem "Burego", to dziś postąpiłbym inaczej: wprowadziłbym cały oddział do wsi Kapusty i schował wszystkich w stodołach i chlewniach czy innych budynkach gospodarczych tak, aby nikt nosa nie wychylił chłopcy przesiedzieliby jak "u Pana Boga za piecem". Ruscy nie wstąpili nawet do wsi, szukali dużego oddziału w lesie. "Dunajewsk przyznał mi rację, ~~tylko trochę zimnej krwi, bo odwagi całemu oddziałowi nie brakowało, a można było ofiar uniknąć.~~

~~Kiedyś podczas referendum, kwaterowałem z moim oddziałem we wsi Olszyny za Sokołami, gospodarz nasz był sołtysiem. Tego dnia przyjechało do wsi sześć furmanek agitatorów z KBW i zajechali na podwórze sołtysa. Mój zastępca "Atom" krzyczał, że trzeba ich rąbać, a ja kazałem zamknąć wierzeje u stodoł i cicho siedzieć z bronią gotową do strzału. Agitatorzy zrobili zebranie gospodarzy z całej wsi, które odbyło się na drodze koło zabudowań należących do sołtysa. Niektórzy zebrani wiedzieli, że w pobliskich stodołach kwateruje czterdziestu paru partyzantów, drętwieli ze strachu na myśl, co z tego może wyniknąć. Nic się nie stało, agitatorzy odjechali po dwóch godzinach, otworzyliśmy wierzeje a błąd, ze strachu sołtys serdecznie nam dziękował za zachowanie zimnej krwi.~~

Oddział "Burego" zatrzymał się w lesie koło wsi Szlasy, niewielki las wypełnił się partyzantami, którzy porozkładali się pod drzewami. Drużyna gospodarza gotowała obiad, ~~a było dla kogo, porozstawiane dookoła warty czuwały.~~ Bolszewickie tyraliery zostały zauważone w odległości 500 metrów. Zarządzono alarm bojowy, przeszło sto luf erkaemów, setki automatów i kabeków skierowało się na powitanie bolszewików. Zauważyli i "osobodziciele", że zbliżają się do poszukiwanej ławicy, posuwali się powoli i ostrożnie dając innym znaki rakietami. Nasi czekali cierpliwie i doczekali się wroga, ale z drugiej strony lasu. Część oddziału szybko zmieniła stanowiska, natarcie było bardzo silne, natychmiast rozpętało się piekło. Nasi poderwali się i uderzyli w kleszcze, które zaczynały się coraz bardziej zaciskać, poszły w ruch granaty i święce dymne. Kleszcze pękły, po trupach wrogów wydostawali się partyzanci i rozsyrywali się na małe oddziały. ~~Zdezorientowani wrogowie nie wiedzieli w końcu, kogo ścigać, zmuszeni zostali do rozczłonkowania swoich sił.~~ Wieczorem bój ucichł, słychać było tylko pojedyncze strzały, czasami serię z automatu, ale już było po wszystkim. ~~Grube ryby przerywały sieć i uszły w nieznany kierunek.~~ Wrogowie zbierali zabitych i rannych, ale przeważnie swoich (około setki).

Znaleźli szesnastu zabitych partyzantów, ale żadnego rannego. Wiedzieli już chyba, że partyzant ostatnią kulę zachowuje dla siebie. Niektórzy jak np. d-ca drużyny ps. "Ładunek" będąc ranny rozerwał się granatem, chłopak z jego drużyny ps. "Rybak" dobił się strzelając sobie w usta, "Bitny" strzelił sobie w skroń. Ruscy zabrali swoich zabitych na trzy samochody i powieźli do Białegostoku naszych następnego dnia pochowali miejscowi ludzie z NZW na cmentarzu w Rutkach-Kossakach. W trzy dni później oddział "Burego" był znów w komplecie i stoczył potyczkę pod Siemiatyczami.

~~Nadeszła jesień 1946 r. Minęło jeszcze jedno lato, najbogatsze w wydarzenia ze wszystkich dotychczasowych lat mego młodego życia. Straciłem brata i wielu kolegów ze wspólnych bojów, w tych miesiącach najczęściej śmierć zaglądała mi w oczy. Rodzice moi byli straszeni i unęczeni ciągłymi rewizjami i nalotami na ich dom. W dalszym ciągu UB nie dawał spokoju. Komenda okręgu i powiatu uznały że nie ma dla mnie miejsca na tym terenie, dostałem rozkaz przeniesienia się.~~

W październiku 1946 r. pojechałem z kapitanem "Grottem", "Wisem" i "Jaworem" na powiat łomżyński pod Kolno. Tu nawiązaliśmy kontakt z d-cą batalionu ps. "Zorza", "Grot" zwołał odprawę wszystkich d-ców batalionów z powiatu, ~~stawili się "Topór", "Jeremi" i "Zorza"~~ przyjechał też komendant powiatu "Franek" i szef PAJ-u "Sęp". W czasie odprawy kp. "Grot" przedstawił mnie zebranym jako nowomianowanego d-cę batalionu na miejsce poległego niedawno "Łosia". Do ostatniej chwili nie wiedziałem nic o tej nominacji i byłem zaskoczony. Zwróciłem się do "Grota" z wątpliwościami, czy będę w stanie podjąć takim obowiązkiem, nie znałem przecież terenu i ludzi. Uśmiechnął się i powiedział, że bym nie udawał takiego skromnego. Dalej mówił do zebranych i do mnie: "Kolego Wybicki", wasza kandydatura była wystawiona na ostatniej odprawie okręgowej grubo wyżej, płk. "Błękit" chciał was mianować komendantem powiatu grajewskiego, lecz ze względu na waszą nieznamość tamtego terenu odłożyliśmy tę propozycję, ale i na to przyjdzie czas. Macie tu do towarzystwa kolegów "Topora" i "Zorzę", oni pomogą w poznaniu terenu i ludzi". Podziękowałem za zaszczyt i zaufanie, ale jednocześnie pomyślałem sobie, że źle zaczyna działać się w naszej organizacji, odczuwa się brak rutynowanych dowódców, jeżeli takim, jak ja, daje się tak wysokie funkcje. Zmieniłem pseudonim i od tej pory występowałem jako "Lot". Aby poznać teren i ludzi, przebywałem na zmianę po kilka dni raz z "Toporem", raz z "Zorzą". Obaj bardzo przypadli mi do gustu, dzielni i odważni, wielcy patrioci i bohaterowie, oni tak samo ma-



rzyli o wielkiej i niepodległej Polsce od morza do morza. Ludność w okolicy oddana jeszcze bardziej naszej sprawie, niż mieszkańcy wysokomazowieckiego. ~~Bez przesady - można było polegać na każdym, jak na Zawiszy. Wsie zorganizowane i zdyscyplinowane, tu o szpiclach prawie się nie mówiło.~~

(Mój batalion obejmował całą gminę Wizna, Jedwabne i Dobrzyjałowo. ~~D-ęcą kompanii Wizna był "Wąż" - dzielny i ambitny, kompanią drugą dowodził Jan Sekołański ps. "Lis", student politechniki warszawskiej, zawsze zrównoważony i trzeźwo myślący. Trzecią kompanię reprezentował "Deska" - mało obrotny, ale zawsze chętny do roboty.~~ Miałem dobrych dowódców plutonów i drużyn, nieco gorzej było z bronią i amunicją. Zaplanowałem sprowadzić kilkadziesiąt sztuk broni z pow. "Mazur", tam było jej pod dostatkiem. Poznałem także kilka ładnych dziewcząt, jak wszędzie, tak i tu garnęły się do partyzantów, choć te "niebieskie ptaki" zawracały im tylko w głowach i dalej szukały wrażeń. Koło Jedwabnego mieszkała ładna nauczycielka ze szkoły podstawowej, dziewczyna była starsza ode mnie o parę lat, ale ja nie zdradzałem mego prawdziwego wieku, a z wasami wyglądałem poważnie. Obawiała się o moje życie, namawiała mnie na wyjazd gdzieś za granicę, na Zachód. Chciała jechać pierwsza i wyszukać odpowiednie miejsce. Zabroniłem jej wspominać nawet o tym. Wtedy byłem jeszcze pewny naszej wiktorii, nie mieściły mi się w głowie myśli o dezercji.

Święta Bożego Narodzenia spędziłem w towarzystwie "Zorzy" u rodziny mego poległego poprzednika - "Łosia". Przyjechała siostra zabitego - studentka medycyny z Warszawy. Mówiła, że w Warszawie otwarto Uniwersytet i uczą po polsku, nie mogłem w to uwierzyć, nadal myślałem swoje. Gdyby to mówił ktoś inny, posadziłbym go o propagandę bolszewicką. ~~Przy chojnce nadeszła pora na kolędy, nieśliśmy też kolędę partyzancką, "Zorza" zainteresował ją:~~

~~"Wśród nocnej ciszy, głos się rozchodzi  
Wstańcie Polacy, Polska się rodzi  
Czym prędzej się uzbrajajcie  
Wrogów niszczone, usuwajcie  
Wolność nadchodzi!~~

~~Poszli jak ojciec Polskę budować  
Wrogów usuwać, granice kować  
Jak Dmowski pracowali  
I tułaczy przyzywali  
Do polskiej ziemi.~~

ję. Trzeciej nocy znów wsiedliśmy do sań i przez zamarznięte błota i Narew wróciliśmy pod Jedwabne, na teren mego batalionu. W tym czasie zbliżały się wybory do Sejmu. Nasza organizacja postanowiła poprzeć listę Mikołajczyka. Na teren mego batalionu przyjechało kilka grup agitacyjnych KBW. Przechorowałem ten okres, przeziębieniem się porządnie. Miałem wysoką temperaturę - ponad 40 stopni. Lekarza nie było w pobliżu, przeleżałem zagrzebany w sianie w stodole, kiedy wieś pełna była agitatorów, nie pomagał też mi 25-cio stopniowy mróz. Gdy agitatorzy odjechali, zawlokłem się do mieszkania, trząskłem się z zimna, gorączka wciąż rosła. "Waż" przywiózł mi miejscową znachorkę, która zaserwowała mi 150 baniek i wysmarowała mnie samogonem. Byłem czarny od sińców, osłabłem okropnie, ale ten zabieg plus mleko z miodem, pieprzem i masłem spowodowały ogólne polepszenie i po upływie tygodnia mogłem wstać z łóżka.

[...] Nadeszła pora wyborów, <sup>do Sejmu</sup> cała okoliczna ludność głosowała na listę kandydatów Mikołajczyka, byliśmy pewni, że zwycięży. Nie podejrzewaliśmy takiej perfidii. Po zakończonym dniu głosowania wieczorem KBW przywiozło gotowe urny pełne głosów na listę Frontu Jedności Narodu. Urny z prawdziwymi głosami zostały spalone. Do Żonźy pojechały podstawione urny z głosami już z góry obliczonymi. Kiedy staliśmy się świadkami jawnego fałszu i obłudy, chcieliśmy interweniować, ale było już za późno. Przed głosowaniem było już właściwie wiadomo, że wybory będą sfałszowane. Parę dni wcześniej aresztowani zostali wszyscy ludowcy - mikołajczykowcy współpracujący z rządem jedności narodowej. Teraz Mikołajczyk zrozumiał, jaki popełnił błąd przyjeżdżając do Polski bez armii polskiej i całego rządu. Dopomógł Anglikom w umyciu rąk z zobowiązań wobec rządu emigracyjnego w Londynie. Ludność nie mając wyboru szła za Mikołajczykiem i gdyby nie było fałszu, odniósłby ogromne zwycięstwo. Powinien otrzymać 95% głosów.

[...] Przepadły wszystkie nadzieje. Nie pozostawało nic innego, jak zginąć lub poddać się i prosić o przebaczenie. Tyle lat nadludzkiego wysiłku poszło na marne, tylu najlepszych młodych Polaków zginęło niepotrzebnie po zakończonej wojnie z Niemcami. Pozostały nam piosenki:

"Zgasły naszych nadziei przeniecie  
Już jutrzienka nie świeci nam błada  
Stańmy wszyscy jako upiórów gromada  
Krwi się wrogów nasycić, napoić  
W krwi niemieckiej i ściervach Moskali..."

Piosenka ta powstała w 1863 roku, mój pradziadek śpiewał ją po



upadku powstania, wzięty w ranach pod Mężeniną, tego samego, w którym jego prawnuk w niespełna osiemdziesiąt lat później o mało nie podzielił losu swego przodka. Taki los zgotowało Polakom nie-szczesne położenie geograficzne, trudno przewidzieć, ile jeszcze razy historia się powtórzy.

[...] Znaleźliśmy się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Był to początek okresu wielkiej rozterki. Do mojej świadomości zaczęły dochodzić pewne fakty, których dotąd nie dostrzegałem i nad którymi nie zastanawiałem się. Wielu moich kolegów - byłych akowców wyjechało na Zachód. Niektórzy dostali się na studia, inni robili matury i pracowali, ja walczyłem w dalszym ciągu już piąty rok. Jak długo człowiek może wytrzymać takie warunki i nie załamać się psychicznie, trwałem na stanowisku tylko dzięki młodym i silnym nerwom.

Słuchaliśmy audycji radiowych - Londynu, Ameryki, Madrytu, Paryża i innych. Ciągłe mówiono, że kraje Europy Wschodniej będą wyzwolone, ale rzeczywistość temu przeczyła. Armie alianckie na Zachodzie demobilizowały się, żołnierze wracali do domów. Nie trzeba było być wielkim politykiem, aby zrozumieć, że Zachód ma dość wojny z Niemcami i że Rosja sowiecka wyszła z tej wojny zwycięsko, silniejsza niż kiedykolwiek. Niestety, wśród polityków polskich pozostałych na emigracji byli ludzie krótkowzroczni, ciągle jeszcze liczący na trzecią wojnę światową. Dostatecznie posługiwali się pozostałą przy życiu patriotyczną młodzieżą w kraju, wpychali nas w wir bratobójczej walki. W owym czasie nowa władza w Polsce umacniała się z dnia na dzień. Armia Czerwona ustępowała miejsca wojsku polskiemu, gdzie dowódcami byli co prawda Rosjanie i Żydzi, ale żołnierzami Polacy i oni ginęli w starciach z partyzantami lub partyzantów zabijali.

[...] Wiele było przypadków, kiedy rozchodziły się drogi rodzonych braci: jeden był w wojsku, drugi w lesie. Osobiście zetknąłem się z taką sytuacją. Kiedy byłem d-cą kompanii NZW, mój kolega z partyzantki z czasów okupacji niemieckiej i jednocześnie kuzyn Jan Sikorski ze wsi Sikory-Bartkowięta został zaraz po wyzwoleniu powołany do ludowego wojska, gdzie ukończył podchorążówkę i został porucznikiem. Jego brat - Władysław Sikorski - przedwojenny plutonowy wojska polskiego pozostał w konspiracji i pełnił funkcję szefa mojej kompanii. Pewnego razu podczas pacyfikacji por. Jan Sikorski otrzymał rozkaz wraz z podległymi mu żołnierzami uczestniczyć w obławie na naszym terenie. Mało brakowało, żeby zginął z naszych rąk w zasadzce. Po jakimś czasie UB dowiedział się, że Jan Sikorski był partyzantem w AK podczas okupacji, a po wyzwoleniu jego brat pozostał w lesie, na tej podstawie porucznik został zwolniony z wojska.

Dowiedziałem się, że Adolf Gąsowski ps. "Dunin" został ujęty. Wzięli go w Targoniach rannego. Został otoczony, próbował ucieczki ale dostał dwie kule w krocze, upadł i nie mógł się podnieść. Ta wiadomość przygnębiła mnie jeszcze bardziej - walczyłem tyle lat i wszystko na marne.

Nowowwybrany Sejm ogłosił amnestię obejmującą wszystkich członków nielegalnych organizacji. Pod warunkiem zgłoszenia się i złożenia broni mogą wrócić do normalnego życia. Amnestia obiecywała puszczanie w niepamięć tym ludziom wszystkich przestępstw łącznie z najcięższymi zbrodniami.

Nasz kapitan "Grot" zebrał kilku ludzi, między innymi i mnie, pośpiesznie jechaliśmy na ważną odprawę do Komendy Okręgu. Przyjechaliśmy do wsi Garbowo, tu na koloniach czekał cały sztab z płk. "Błękitem", "Burem" i "Dunajewskim" na czele. ~~Było kilku komendantów powiatu wśród nich "Sterna". Przyszło kilka oddziałów partyzanckich, wśród których byli szefowie PAS, "Ciemny" ze swoją żandarmią, "Cygan" przyprowadził prawie cały mój oddział. Uradował mnie widok mych dzielnych zuchów, biegli do mnie z okrzykiem: "nasz komendant "Wybicki" żyje!". Cieszyłem się, że widzę ich całych i zdrowych, nawet pełnych humoru. Opowiadali, że dowiedzieli się o mojej "śmierci", długo w to wierzyli, uwierzył początkowo nawet "Cygan".~~ Odprawa trwała dwa dni. Wodzowie radzili bez nas, czasami tylko w rozmowach z nami sondowali nasze myśli. Trzeciego dnia płk. "Błękit" wygłosił do wszystkich mowę, w której powiedział, że Komenda Okręgu podziela decyzję nieujawniania się. Zapowiedział walkę na śmierć i życie. Wołał, że honor Polaka - zginąć lub zwyciężyć. Kazał pluć w twarz tym, którzy nawołują do ujawniania, dalej krzyczał, że rząd bierutowski spłodził manifest pod nazwą "amnestia": zmarłym - wolność, żywym - kajdany. Po Pułkowniku wystąpił "Grot". Jego mowa nie pokrywała się z tym, co powiedział "Błękit". Zorientowałem się, że w sztabie okręgowym zdania są podzielone. Na zakończenie wydrukowano rozkazy i odezwę do mieszkańców Białostoczczyzny nawołującą do dalszej walki.

Po odprawie płk. "Błękit" zabrał mnie do siebie na kwaterę. W przyjacielskiej rozmowie oświadczył, że zabiera mnie do siebie, ma dla mnie nową funkcję na terenie powiatu Ostrów Mazowiecka. Na razie mianuje mnie tamtejszym szefem PAS, a później zobaczymy. Oznajmił mi, że zostałem przedstawiony do awansu na porucznika. Niedługo wyda rozkaz i otrzymam zaświadczenie. Podziękowałem za wyróżnienia i poprosiłem o parę dni urlopu na zbliżające się święta Wielkonoce. Długo myślałem, próbowałem mi odradzać, proponował spędzenie



świąt w jego towarzystwie, ale nie ustępowałem i prosiłem dalej. W końcu zgodził się pod warunkiem, że zaraz po świętach wręcę do niego. ~~Wzwał "Cygana" i przydzielili nam na czas urlopu dwa ładne konie w siodłach.~~

Pożegnałem "Burego", "Grot", "Błękit", "Ciemnego", "Żbika", "Ordona", "Franka", "Dunajewskiego", "Wąsatego", "Gryfa", "Ognia", "Sterne", "Orlika", "Orła", "Gołębia", "Noc" i dziesiątki innych moich kolegów i podwładnych, ludzi Podziemnej Polski Walczącej, tych z którymi przez tyle lat dzieliłem klęski i zwycięstwa, raczej klęski, bo zwycięstwa były chwilowe i lokalne. Rozstawałem się z moimi serdecznymi przyjaciółmi, których wspominać będę do końca życia. Nie wiedziałem wówczas, że więcej ich nie zobaczę, choć długo jeszcze będę o nich czytał i słuchał. "Cygany" i ja dosiedliśmy wieżchowców i poawałowaliśmy w stronę mego domu.

Rząd i Sejm wyznaczył dwumiesięczny okres na ujawnianie się, nie było więc konieczne śpieszyć się. Ustały wszelkie pacyfikacje, mogliśmy swobodnie poruszać się, gdzie kto chciał.

Przyjechaliśmy do domu, zastaliśmy rodziców jeszcze wystraszo-nych, ale uspokoiłem ich szybko. Poprosiłem Matkę, aby posłała mi moje łóżko, będę spać w nim po raz pierwszy od czterech lat. To nic że miałem na sobie mundur, pistolet, automat, torbę pełną amunicji i granatów - ważne, że po drodze dogadaliśmy się z "Cyganiem", iż do syć mamy tułaczki i poniewierki, postanowiliśmy odpocząć przez parę najbliższych tygodni. Co będzie dalej - zobaczymy. To dopiero początki terminu ujawniania się. Zjedliśmy smacznie i wypiliśmy, poczym położyliśmy się spać. ~~Spaliśmy do rana twardym i krzepiącym snem.~~ Dzień przyniósł wieści o ujawnianiu się WiN-owców. Jechali do Białegostoku z Zawad, Opuchowa, Jeżewa, wracali do domów z zaświadczeniami o ujawnieniu. Na razie zdobywali się na ten krok ludzie mało znaczący w organizacji, bez bogatej przeszłości konspiracyjnej

Odwiedził nas "Jastrząb" - Kazimierz Pogorzelski ze wsi Pogorzalki - partyzant z żandarmerii okręgowej, pupilek "Dunajewskiego" Przyznał się, że "Dunajewski" pozwolił mu ujawnić się. Zaskoczyło nas to ogromnie: jednym każą pluć w twarz tym, którzy namawiają do ujawniania, innych sami namawiają. Przyjechał "Sterna" i oznajmił nam, że on jest zwolennikiem ujawniania się, jego zdanie podziela kp. "Grot". "Błękit" i "Bury" upierają się przy walce do końca. Zatem powstał rozłam w Komendzie Okręgu. "Grot" chce pertraktować z UB, liczy na uwolnienie wszystkich więźniów z NZW, aresztowanych przed amnestią. Na własną rękę nawiązał kontakt z UB - żądają się zwolnić wszystkich niedawno złapanych, będących jeszcze w śledztwie.

UB - 63 -

Natomiast osadzonych - zgodnie z amnestią: do 5 lat - zwolnić, powyżej 5 lat - połowa kary, dożywocie zamienić na 15 lat, karę śmierci na dożywocie. ~~Jest nadzieja na wytargowanie czegoś więcej. UB bardzo zależy na dojściu do porozumienia.~~

Przemyślałem całą sprawę i po rozmowie ze "Starną" zdecydowaliśmy obaj z "Cyganem" ujawnić się. ~~"Cygan" pożegnał się ze mną i pojechał do Kap, do swego domu. Zabrał konie, aby odstawić je po drodze na punkt okręgowy. "Błękit" wyjechał z naszego terenu na powiat Ostrów Mazowiecka, zabrał "Ciemnego" i kilku partyzantów z żandarmerii. W Kapicach pozostałem ze "Starną", panował spokój, więc siedzieliśmy i radziliśmy. "Sterna" zredagował memoriał do UB, proponował ujawnienie całego powiatu Wysokie Mazowieckie, ale jako warunek postawił zwolnienie wszystkich więźniów, nawet tych, których "stracono" (nie wierzył, że wyroki zostały wykonane), m.in. mego brata Piotrka. UB nie odpowiedziało na to pismo. "Sterna" pojechał do "Grota" pod Łonżę.~~

[...] 2 kwietnia 1947 f. ubrałem się w mundur, pas koalicyjkę, wziąłem pistolet w kaburze, dwa granaty angielskie obronne, pepeszą i dwa bębny amunicji. W towarzystwie Jana Roszkowskiego ps. "Kurzawę" i Stanisława Chibowskiego ps. "Grona", który ranny od min na Biebrzy chodził o kulach, wyjechałem końmi mego Ojca do Jeżewa Starego, tam zatrzymałem samochód jadący w stronę Białegostoku. Jechaliśmy mijając lasy, w których przez pięć lat nie raz czaiłem się w zasadzce, pobojuwiska, gdzie niejednego wróg padł i niejedna kula bzyknęła mi koło głowy. ~~Jadą po to, aby za pięć lat tułaczki i heroicznej walki prosić o przyjęcie mnie w poczet ludzi siedzących pod manusi-  
ną spódnicą przez cały okres okupacji niemieckiej, ewentualnie  
trudniących się handlem, szmuglem lub nawet współpracujących z oku-  
pantem.~~ [F. J.]  
Dziś mam chylic zroszone krwią i potem czoło przed jakimś funkcjonariuszem UB, niezłym pływakiem, który pasł krowy u ojca przez całą wojnę a kiedy było już wiadomo, że Niemcy wojnę przegrali, panowanie przeszło w ręce sąsiadów ze Wschodu, on wstąpił do PPR lub świeżo utworzonych oddziałów partyzanckich Armii Ludowej. Na naszych terenach nikt nie słyszał o Al-u przez cały okres okupacji niemieckiej. [F. J.]  
Po wyzwoleniu na skutek złe przemyślanej polityki rządu londyńskiego, najlepsi synowie ziemi białostockiej kontynuowali śmiertelny bój z ogromną przewagą wroga. Jaką wartość przedstawiali "chłopcy z lasu", niech o tym świadczy choćby fakt, że armie rosyjskie, które rozgromiły na Wschodzie najlepsze siły niemieckie, przez trzy lata nie mogły uporać się z partyzantką na Białostocczyźnie, ~~zmuszone zostały ogłosić amnestię.~~



W820 - 64 -

Wjechaliśmy w ulicę Białegostoku, dalej na moją prośbę kierowca zawiózł nas pod UB na ul. Warszawskiej. Niepewnym krokiem wszedłem do tego urzędu. Dużą poczekalnię wypełniło około czterdziestu mężczyzn różnie ubranych i z różną bronią, przeważnie członkowie WiN-u. Ze znajomych nie spotkałem nikogo, chociaż kilku mnie rozpoznało, słyszałem, że szeptem wymieniano mój pseudonim, ktoś nawet ustąpił mi siedzącego miejsca. Po paru minutach wszedł do poczekalni oficer UB w skórzanej kurtce, rozejrzał się i, ku memu przerażeniu, poprosił mnie bez kolejki. Oświadczyłem, że nie jestem sam - mam ze sobą dwóch ludzi, poprosił także "Kurzawę" i "Groma". W pokoju za biurkiem siedział porucznik i dwóch cywili. Zajęliśmy miejsca w wygodnych fotelach. Spisano nasze personalia, porucznik przeprosił i wyszedł do sąsiedniego pokoju. Słyszałem, że dzwonił do wojewódzkiego UB i wymienił mój pseudonim, poczym wrócił i przystąpił do spisania aktu ujawnienia. Najpierw opisano broń i amunicję, musiałem na jego prośbę rozbroić angielskie granaty, nie potrafili obchodzić się z nimi. Wykręciłem zapalniki i oddałem. Podobają się im te granaty, prosili o instrukcję obchodzenia się z nimi. Opisano cały przebieg mojej walki konspiracyjnej, ale dość ogólnie. Rok, miesiąc wstąpienia do organizacji, kto był dowódcą, moje stopnie i funkcje oraz odznaczenia. Gdy chciałem ujawnić całą moją działalność z wymienieniem wszystkich walk i akcji, oświadczono mi, że te rzeczy są im znane i z powodu braku czasu nie będą mogli wszystkiego spisać. W międzyczasie przyjechał samochód, wysiadło z niego dwóch cywili i trzeci wszedł za nimi do pokoju kuśtykając "Dunin", złapany ranny przed paroma tygodniami. Rzuciliśmy się sobie w objęcia, obaj mieliśmy oczy pełne łez. Kto by nie płakał nad losem takich straceńców! Jeden z towarzyszących "Duninowi" cywili głośno powiedział: No, Gąssowski, wielu waszych ludzi się ujawnia, ale na pewno nie zrobi tego "Wybicki". Adolf roześmiał się głośno, obaj cywile podali mi ręce i wyrazili uznanie dla mojej decyzji. Pół żartem narzekali, że tyle czasu i benzyny zmarnowali ganiając za mną, a kiedy przyszedł czas, "Wybicki" sam oddał się im w ręce. Jeden z cywili był szefem UB w Białymstoku. Zaprosił mnie do sąsiedniego pokoju i w cztery oczy wypytywał na różne tematy, m.in. co zamierzam robić dalej. Nie podjąłem jeszcze żadnej decyzji, ale zacząłem myśleć o wyjeździe do Warszawy i nauce. Zaproponował mi nagle wstąpienie do UB w Białymstoku, obiecał zweryfikować mój stopień z partyzantki pod warunkiem, że będę się poświęcał nowej pracy tak samo, jak to czyniłem w organizacji. Wykręcałem się jak mogłem. Coś podobnego nie mieściło mi się w głowie: wczoraj byłem

śmiertelnym wrogiem, a dziś nagle zrobić zwrot o 180 stopni? co ludzie powiedzą? Sumienie zadrepczyłoby mnie. W końcu wróciliśmy. Adolf był niespokojny, chyba domyślał się, o co chodzi. Dyskretnie mrugnąłem, to go uspokoiło. Zwróciłem się z prośbą, aby ujawnili Gąsowskiego i pozwolili mu odejść razem ze mną. Tłumaczyłem, że to będzie dla nich dobrą propagandą. Odpowiedzieli, że Gąsowski będzie zwolniony za tydzień i wróci do domu. Pozwolili nam odejść na bok i porozmawiać. Adolf był dobrej myśli - wierzył, że zostanie zwolniony. Prosił mnie, abym wpłynął na Bolka Skaradzińskiego "Sternę" i namówił go do ujawnienia całego powiatu. Zdążyłem poinformować Adolfa, iż Komenda Okręgu wydała rozkaz nieujawniania się a kp. "Grot" zaczął działać na własną rękę i dąży do ujawnienia większości.

Pożegnaliśmy Adolfa Gąsowskiego, który odjechał do więzienia w tym samym towarzystwie. Wypłacono mi 2.000 zapomogi, dostałem komplet bielizny, buty, piżamę i bilet kolejowy na przejazd do dowolnie obranego miejsca w Polsce. Odebrałem zaświadczenie, że uczyłem zadość warunkom przewidzianym w dekreście o amnestii i skorzystałem z niej. Wszystko zostało mi darowane pod warunkiem, że w ciągu dwóch lat nie powtórzy się nic podobnego.

Wyszliśmy z UB bez broni i już nie ci sami, co przed paroma godzinami. Pomyślałem sobie, że nie taki diabeł straszny jak go malują. Co teraz zrobić ze sobą, gdzie się udać? Mogłem wrócić do Ojca i gospodarzyć razem z nim, ale mogło to pociągnąć za sobą spotkania z nieujawnionymi jeszcze kolegami-partyzantami, zaczęłyby namawiać mnie do powrotu a w razie odmowy mogły potraktować mnie jak zdrajcę. Gdybym powrócił do lasu, UB po aresztowaniu nie daruje mi już żadnego przewinienia. "Nosić płaszcz na obu ramionach" - to skończy się strzałem partyzanckim lub aresztowaniem przez UB. Być neutralnym nie pozwolą jedni i drudzy. Jedyne wyjście to ucieczka do jakiegoś dużego miasta, praca i nauka. Ale jaka praca? Jedyne rzemiosło, jakie znam, to posługiwanie się bronią. Przywykłem do tego tak bardzo, że teraz bez broni czułem się nieswojo. Byle pętał mógł wyjąć rewolwer i zrobić ze mną, co mu się spodoba. Wielu wrogów przysporzyło mi te pięć lat wśród okolicznych band złodziejskich. Do tej pory najgroźniejsi chuligani i nożownicy drżeli ze strachu przede mną, niejednego dostał porządne lanie od partyzantów z mojego otoczenia, kilku otrzymało wyroki śmierci, część złączyła ucieczkę przed sprawiedliwością, ci ostatni mogą wrócić i szukać odwetu. Wsi Sikory - Piotrkiwta było trzech braci Sikorskich: Fryderyk, Mieczysław i Eugeniusz. Przed wojną na każdej zabawie, na której